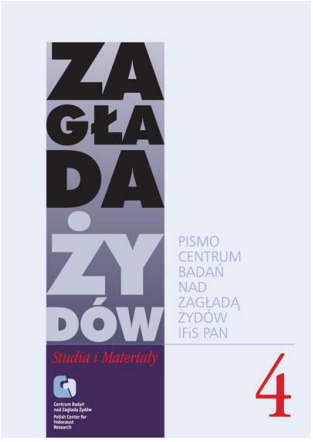


Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 4 (2008)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Ratowanie Żydów za pieniądze – przemysł pomocy

Saving Jews for money – the help industry

Jan Grabowski
Uniwersytet w Ottawie

grabows@uottawa.ca
ORCID: https://orcid.org/0000-0002-6916-9379

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.268
Strony/Pages: 81-109

CC BY

OPEN ACCESS

Jan Grabowski

Ratowanie Żydów za pieniądze: przemysł pomocy[1]

Z chwilą kiedy zabrał żydów do siebie, sprawił sobie złote zęby, a jego żona ma żydowskie kolczyki…[2]

Zagadnienie pomocy niesionej Żydom przez Polaków w okresie wojny jest tematem niełatwym do ujęcia w sposób syntetyczny. Emocje towarzyszące problemom pomocowym oraz instrumentalne traktowanie tego zjawiska na przestrzeni ostatnich dziesiątków lat sprzyjały powstawaniu mitów, które miały więcej wspólnego z potrzebą chwili i z politycznym zamówieniem niż z historycznymi realiami tej tragicznej epoki. Presja ta, rzecz znamienna, choć różnorako motywowana, trwa do dziś. W swoich staraniach, których celem jest wykazanie masowości postaw pomocowych, niektórzy badacze przekraczają tę nie zawsze łatwą do wytyczenia granicę, która oddziela rzetelne badania historyczne od tendencyjnej publicystyki. Niemniej przeto, problematyka ta doczekała się szeregu niezwykle wartościowych opracowań, z których jedno powstało już w czasie wojny[3].

---

[1] Chciabym serdecznie podziękować Janowi T. Grossowi, Davidowi Silberklangowi oraz wszystkim członkom Centrum Badań nad Zagładą Żydów za wnikliwe uwagi i komentarze dotyczące wcześniejszych wersji tego tekstu. Wyrazy wdzięczności należą się także Ryszardowi Husowi oraz Dagmarze Swałtek za pomoc w kwerendzie.

[2] Z zeznania złożonego w 1946 r. przez Jana P., rolnika z Ratułowa pod Nowym Targiem. Archiwum Państwowe Kraków, zespół Sądu Apelacyjnego w Krakowie, 985, K 244/49, s. 21.

[3] Temat ten szerzej omawia w swoim artykule (w tym samym tomie) Dariusz Libionka. Do podstawowych prac można zaliczyć klasyczne studium E. Ringelbluma, *Stosunki polsko-żydowskie w czasie drugiej wojny światowej*, Warszawa 1988; T. Prekerowa, *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie, 1942–1945*, Warszawa 1982; N. Tec, *When Light Pierced The Darkness*, New York, Oxford, 1986, 261 s. *Ten jest z Ojczyzny Mojej*, red. W. Bartoszewski, Z. Lewinówna, Kraków 1969; M. Urynowicz, *Zorganizowana i indywidualna pomoc Polaków dla ludności żydowskiej eksterminowanej przez okupanta niemieckiego w okresie drugiej wojny światowej* [w:] *Polacy i Żydzi pod okupacją niemiecką, 1939–1945. Studia i Materiały*, red. A. Żbikowski, s. 252–253; dwa tomy z Yad Vashem; Steven Paulsson, *Secret City. The Hidden Jews of Warsaw, 1940–1945*, Yale University Press, 2002. Dodać trzeba, że w krakowskim Instytucie Studiów Strategicznych od dwóch lat trwają prace nad tzw. „Indeksem osób represjonowanych i zamordowanych przez hitlerowców za pomoc Żydom". Na marginesie tej tematyki, w sekcji „kurioza", można wspomnieć niedawne prace IPN-owskiego historyka

W polskiej historiografii i w polskiej świadomości ugruntowało się przekonanie o powszechności postaw pomocowych. Za miarę skali pomocy niesionej Żydom uważa się dziś ilość drzewek posadzonych przez polskich sprawiedliwych w Yad Vashem. Jeżeli się jednak uważniej przyjrzeć, to zza gaju oliwnych drzewek wyłania się inny las, a drzewa w tym lesie wzrosły na zgoła innej glebie niż przyświecające Sprawiedliwym ideały miłosierdzia, litości czy też miłości ginącego bliźniego. Dla wielu ukrywanie Żydów było po prostu ryzykownym, lecz bardzo popłatnym zajęciem. Jednym z podstawowych kryteriów przyjętych przed jerozolimski Yad Vashem przy ocenie „sprawiedliwości" niesionej pomocy jest brak motywacji finansowych, brak chęci wzbogacenia się na ukrywaniu Żydów. Niosący pomoc Sprawiedliwi mogli, co prawda, pobierać od ukrywanych ekwiwalent kosztów utrzymania, ale nic więcej. Przyjęcie tego rodzaju kryterium wyklucza *à priori* wszystkich tych, którzy ratowali Żydów z pobudek ekonomicznych, którzy na szukających schronienia patrzyli jako na źródło dochodów. Niemniej jednak, to również dzięki nim niektórym żydowskim rozbitkom udało się przetrwać. Jak to trafnie ujęła pewna chłopka z przemyskiego: „jedni z powodu interesu pomagali, inni, bo mieli serce bogate"[4]. W literaturze angielskojęzycznej w celu określenia ludzi „którzy pomagali dla interesu" używa się zwrotu „*paid helpers*". Nazwa ta została przejęta w oryginalnej angielskiej formie przez autora jedynej polskiej pracy zahaczającej o tę tematykę. Na potrzeby tego studium, w celu opisania „płatnych pomocników" angielski zwrot *paid helpers* zastąpimy określeniem „biorcy".

Z punktu widzenia badaczy oraz samych ratowanych trudno jest rozgraniczyć między tymi, którzy za pomoc żądali „tyle ile trzeba" i tymi, którzy żądali nieco więcej, lub też tymi, których roszczenia były bardzo wygórowane i których „serce było uboższe", lecz portfele – pełniejsze. Jak to ujął Marek Edelman – żeby przetrwać wojnę Żyd musiał mieć pieniądze, „dobry" wygląd oraz znajomych po aryjskiej stronie. Brak jednego z tych trzech elementów redukował szanse przeżycia, brak dwóch elementów – zazwyczaj oznaczał wyrok śmierci. Na temat pomocy motywowanej chęcią zysku wiemy jednak mało lub prawie nic. Samo pisanie o płatnej pomocy uważano (i nadal uważa się) – zupełnie niesłusznie – za nietakt i próbę podania w wątpliwość motywacji ludzi niosących pomoc Żydom z bardziej szlachetnych pobudek[5].

Samo pobieranie pieniędzy od przechowywanych Żydów (choćby nawet chodziło o krociowe sumy) nie powinno automatycznie dyskwalifikować biorców jako jednostki wyzute z sumienia i godne pogardy. Dla wielu ukrywanie Żydów za sowitą opłatą było nie tyle formą żerowania na ludzkim nieszczęściu, ile próbą normalne-

---

Jana Żaryna, według którego szczególne zasługi na polu niesienia pomocy Żydom podczas okupacji położyli przedwojenni endecy, działacze obozu narodowego.

[4] A. Cała, *Wizerunek Żyda w polskiej kulturze ludowej*, Warszawa, 2005, s. 168

[5] Podczas wojny, jak zapisał to w swoim dzienniku jeden z ukrywanych Żydów, też nie wypadało wspominać o roli, jaką grał „finansowy rewanż" gdyż: „gospodarze nie zrozumieliby nas i dopatrywaliby się niewdzięczności w takim «szukaniu plam na słońcu»", M. Szapiro, *Nim słońce wzejdzie*, Warszawa 2008, s. 641.

go postępowania w nienormalnej sytuacji. Icchak Cukierman, jeden z przywódców ŻOB-u, stwierdził, że niezwykle ciężkie warunki okupacyjne zmuszały ludzi do poszukiwania niekonwencjonalnych środków utrzymania[6]. Pewny, godny zaufania biorca był więc ważnym atutem w walce o przetrwanie. Przechowywanie „ludności niearyjskiej" za sowitą opłatą było czymś, co sami Żydzi zaliczali do zjawisk normalnych, a istnienie dużej grupy „opłacanych" Polaków było – dla wielu – warunkiem przeżycia. Dla Cukiermana kryterium oceny postawy biorców był wobec tego nie tyle fakt wzbogacania się na ukrywanych, ile szeroko pojęta uczciwość w wywiązywaniu się z zawartego wcześniej kontraktu. Jeżeli przechowywany i przechowujący uzgodnili wysokość opłaty (choćby bardzo wyśrubowaną) i warunki pobytu (choćby bardzo skromne) i jeżeli aryjski gospodarz nie dokonywał jednostronnej zmiany warunków kontraktu – to tego rodzaju sytuację uważano nie tylko za normalną, lecz za godną pochwały. Cukierman dokonał wstępnej klasyfikacji postaw Polaków wobec tragedii Żydów. Przywódca ŻOB-u największym szacunkiem darzy tych, którzy z takich czy innych pobudek ryzykowali własne życie nie domagając się niczego w zamian. Lecz zaraz potem wymienia ludzi, którzy ratowali Żydów dla zarobku. Jak twierdzi Cukierman, wśród biorców bywali niejednokrotnie ludzie, którzy uważali, że ratowanie jest również ich humanitarnym obowiązkiem i nie odmawiali dalszej pomocy nawet wówczas, gdy ukrywanym kończyły się pieniądze. Inni przechowywali Żydów tak długo, jak długo dostawali za to godziwe wynagrodzenie, a później wypowiadali im schronienie. Na koniec Cukierman wymienia tych, którzy ukrywali Żydów tak długo, jak długo mogli na tym zarobić, a potem wydawali swych podopiecznych w ręce władz[7]. Te dwie ostatnie grupy znajdą się w polu naszego szczególnego zainteresowania.

Metodologia zagadnienia pomocy

Wymiar „zarobkowej" pomocy niesionej Żydom skutecznie opiera się ścisłej buchalterii. Nie będzie jednak naszym celem dokładne kwantyfikowanie zjawiska, gdyż – biorąc pod uwagę złożoność badanej sytuacji – próba taka byłaby skazana na niepowodzenie. Można jedynie ważyć się na bardzo nieprecyzyjne szacunki. Wiadomo, że ludzi traktujących przechowywanie Żydów jako formę zarobku było wielu i że wywodzili się ze wszystkich warstw społecznych. Jak postaramy się wykazać, granica między pomocą bezinteresowną a pomocą opartą o kalkulację finansową była płynna. Na jednym końcu spektrum natykamy się bowiem na pomoc płatną, która z czasem przechodziła w przyjaźń i w pomoc bezinteresowną, a z drugiej – na różne formy wyzysku i szantażu stosowane wobec ukrywanych Żydów. Postawy biorców podlegały zresztą ewolucji, zmuszając badacza do cią-

[6] I. Cukierman, *Nadmiar Pamięci (siedem owych lat). Wspomnienia, 1939–1946*, Warszawa 2000, s. 326–327.

[7] *Ibidem*, s. 299. Stwierdzenie „oddać w ręce władzy" obejmuje zarówno polską policję, jak i żandarmerię niemiecką.

głego „przeklasyfikowywania" kierujących nimi motywów. W miarę upływu czasu stosunki między obiema stronami ewoluowały i – jak to opisywał jeden z ocalonych – „stosunek gospodarza do nas uległ zmianie. Dawał nam lepiej jeść, widać było, że rzeczywiście chce nas ratować. Po prostu byliśmy «jego Żydkami»"[8]. Stan ten zresztą był płynny i nastawienie ratującego mogło zmieniać się z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc. Bywały też przypadki odwrotne, kiedy to stosunki między ukrywającym i ukrywanym ulegały pogorszeniu, a wtedy cena pomocy gwałtownie rosła. Zdarzało się też, że po wymuszeniu wszystkich pieniędzy Żydów wydawano w ręce agentów, policji, bądź bezpośrednio denuncjowano u Niemców. Oba omówione powyżej scenariusze wydarzeń („przyjacielski" i „niszczący") nie były tak częste, jak najbardziej pospolity – w miarę stabilny układ finansowy oparty na porozumieniu stron. Ukrywani, mając świadomość ogromnego ryzyka wiążącego się z przechowywaniem Żydów, podejmowali się odpowiednio wynagrodzić to ryzyko swym gospodarzom, a ukrywający zobowiązywali się zapewnić swym „gościom" pewne minimum warunków pozwalających na przeżycie. Cena ukrycia, w miarę narastania grozy prześladowań oraz w miarę postępu inflacji, zazwyczaj rosła, ale było to niejako „wliczone w umowę" i nikogo nie zaskakiwało. O skali procederu „przemysłu pomocowego" świadczy fakt, że w świadomości polskich Żydów pieniądze stanowiły nie jedyny, ale na pewno niezbędny warunek przetrwania. „Brak pieniędzy nie pozwalał nam na ukrycie się u Polaków, którym trzeba było płacić kolosalne sumy" – pisała Halina Raps-Aszkenazy o swej sytuacji w styczniu 1943 r. „Żyd znalazłszy się bez pieniędzy, musi wracać do getta i skazany jest na zagładę" – pisał Wiesław Dobrowolski[9].

Prowadzone dotychczas badania historyczne zdają się wskazywać, że żądza zysku i chęć wzbogacenia się na przechowywanych Żydach były najważniejszymi motywami zaledwie w 10–16 proc. przypadkach niesienia pomocy[10]. Nechama Tec, która w początku lat osiemdziesiątych przeprowadziła dziesiątki wywiadów z ocalonymi z Zagłady oraz poddała analizie setki relacji sporządzonych wkrótce po wojnie, doszła do wniosku, że ludzie trudniący się ukrywaniem Żydów dla zarobku, stanowili wąski margines. Według Tec, biorców można postawić w jednym rzędzie (jeżeli chodzi o rzadkość zjawiska) z antysemitami ratującymi Żydów. Można było natknąć na nich się od czasu do czasu, ale w ogólnym rozrachunku były to wyjątki. Ponadto, według ustaleń Nechamy Tec, 80 proc. ludzi niosących pomoc „z wyrachowania", to jednostki biedne, słabo wykształcone, w większej części chłopi. Stąd nasuwać się może wniosek, jak sugeruje Tec, że ludzie na nieco wyższym poziomie

[8] YVA, 03/1327, Relacja Eli Kusznira, s. 12.

[9] AŻIH, zespół 302/300, s. 104.

[10] Spośród niedawno wydanych prac na szczególną uwagę zasługuje wcześniej wspomniany artykuł pióra Marcina Urynowicza. Urynowicz oparł swoją analizę o ponad 2400 przypadków pomocy odnotowanych w dokumentach przechowywanych w ŻIH i dotyczących Sprawiedliwych. Niestety, tego rodzaju podstawa źródłowa w sposób niemal automatyczny wyklucza interesujące nas przypadki biorców. W tej ostatniej kwestii Urynowicz opiera się na wcześniejszej pracy Nechamy Tec.

nieśli pomoc z wyższych pobudek[11]. Badania te oparte były jednak o powojenne relacje bądź wywiady z ocalonymi, których celem było niejednokrotnie podkreślenie wartości i jakości niesionej pomocy. Jeszcze większy jest kłopot z reprezentatywnością w ten sposób dobranej próbki. Mówiąc krótko – ludzie przechowywani z pobudek ideowych, z poczucia wspólnoty losu, bezinteresownie, mieli znacznie lepsze szanse na przeżycie, niż ci, którzy musieli dzień w dzień, miesiąc w miesiąc płacić wysoki haracz. Jeżeli zasoby finansowe ludzi należących do tej grupy wyczerpały się przed nadejściem Armii Czerwonej, to zazwyczaj lądowali na ulicy lub też wydawano ich w ręce okupanta. A spośród Żydów lądujących bez żadnych środków do życia na ulicy niewielu zdołało przeżyć i złożyć po wojnie zeznania rzucające światło na skalę „pomocy odpłatnej". Jest to słabość metodologiczna, której istniejące studia nie są w stanie przezwyciężyć. Jak słusznie zauważa Tec, ludzie przechowujący Żydów dla pieniędzy nie chwalili się swoimi motywami i nie zostawili dzienników, pamiętników oraz innych materiałów mogących pomóc nam opisać ich działalność. Nie znaczy to jednak, że historycy stają wobec tego problemu bezradni.

Jak już wcześniej zauważyliśmy, z przeprowadzonych przed ponad ćwierć wiekiem badań wynika, że motyw finansowy był najważniejszy w niewielkiej jedynie liczbie zarejestrowanych przypadków pomocy. Nawet gdybyśmy przyjęli, że procent ratujących dla zysku był tak niski, jak to sugeruje Tec, to w dalszym ciągu temat ten byłby dość istotny, aby zasługiwać na dogłębną analizę i na oddzielne opracowanie. W świetle nowo udostępnionych źródeł archiwalnych wydaje się jednak, że poprzednie ustalenia wymagają daleko idącej korekty, a to stawia przed historykami obowiązek ponownego zastanowienia się nad całą problematyką pomocy. Jeżeli rozszerzymy bowiem podstawę źródłową studium o dokumenty, do których badacze bądź nie mieli wcześniej dostępu, bądź też nie były one przez nich wykorzystywane, to problematyka płatnej pomocy zmienia się w sposób zasadniczy. Po pierwsze wspomnieć tu należy o procesach prowadzonych z dekretu sierpniowego, czyli tzw. sierpniówkach[12]. Wśród tysięcy sierpniówek zachowało się ponad 1300 spraw prowadzonych przeciwko ludziom oskarżonym bądź podejrzanym o działanie na szkodę Żydów podczas wojny. Wśród nich odnajdujemy bardzo wielu „ratujących za pieniądze", którzy – z chwilą wyczerpania się zasobów finansowych swoich podopiecznych – przeganiali ich, mordowali, bądź też wydawali w ręce niemieckie. Podopieczni szczególnie bezwzględnych, wyrachowanych i okrutnych biorców z oczywistych względów nie pozostawili po sobie pamiętników i relacji, na których mogliby oprzeć się późniejsi badacze. Sierpniówki w sposób istotny wzbogacają naszą wiedzę o tej drugiej, dotąd nieopisanej stronie medalu. Do sierpniówek trzeba doliczyć tysiące dochodzeń prokuratorskich, które gromadziły materiał wstępny do rozpraw. Jeżeli – zdaniem prokuratury – nie było nadziei na skazanie,

[11] N. Tec, *op. cit.*, tabelka zamieszczona na stronie 226.

[12] Dekret z 31 Vlll 1944 roku przewidywał ściganie rozmaitych zbrodni i przestępstw popełnionych przeciwko narodowi polskiemu w czasie okupacji niemieckiej.

sprawy przerywano na wstępnym etapie dochodzenia prokuratorskiego. Pokaźna ilość zachowanych teczek prokuratorskich stać się może kopalnią wiadomości o biorcach i o ich żydowskich podopiecznych[13]. Do wyżej wspomnianych powojennych akt śledczo-sądowych należy również dodać niewykorzystane dotąd przez historyków zespoły akt sądów okupacyjnych: polskich i niemieckich. Szczególnie ważne są tu akta sądów niemieckich i specjalnych, w których znajdujemy setki spraw prowadzonych podczas pierwszych lat okupacji przeciwko ukrywającym się Żydom[14]. Wyżej wspomniane akta sądowe pozwalają nam również na udzielenie wstępnej odpowiedzi na pytanie, w jakich okolicznościach dochodziło do „wpadki" Żydów w ręce niemieckie. Zza tak często padającego stwierdzenia: „przyszli Niemcy i zabrali Żydów" wyłania się odpowiedź na pytanie, skąd też to Niemcy wiedzieli dokąd się udać, aby Żydów znaleźć. Biorąc pod uwagę skuteczność niemieckich działań represyjnych wobec ukrywających się, jest to zagadnienie o kluczowym znaczeniu dla dalszych badań. Jeżeli do sierpniówek, do akt prokuratorskich oraz do teczek sądów niemieckich dodamy relacje żydowskie z zespołu 301 i 302 ŻIH, jak również relacje z zespołów 03 oraz 033 z archiwum Yad Vashem, to nasz horyzont badawczy ulega znacznemu poszerzeniu. Ze zjawiska marginalnego (owych wcześniej wspomnianych 10–16 proc.), ukrywanie Żydów za pieniądze i dla pieniędzy staje się zjawiskiem powszechnym, o niebagatelnym wymiarze historycznym i społecznym.

Równie ważnym aspektem pomocy płatnej jest jej niska skuteczność. W odróżnieniu od relacji ocalonych, na których wspierają się prawie wszyscy badacze piszący dotąd o pomocy niesionej Żydom, akta sądowe z lat wojny i sierpniówki z lat powojennych stanowią materiał o pomocy w dużej mierze nieskutecznej. Nie znaczy to jednak, że z tego powodu powinny zostać wyłączone poza nawias prowadzonych badań. Poczyniwszy te wstępne założenia warto przyjrzeć się samemu mechanizmowi pomocy płatnej.

Ukrywanie Żydów a okupacyjna codzienność

> *Czyż nie mogłyby chrześcijańskie dusze zmiłować się na tyle, by w czasie akcji pozwolić takiemu desperatowi, który zabłądził do ich domostwa, przemknąć się gdzieś chyłkiem…? – ludziska właśnie nie chcą. Po prostu nie życzą sobie w ogóle Żydów*[15].

---

[13] Wg Aliny Skibińskiej ok. 8 proc. sierpniówek i dochodzeń prokuratorskich dotyczy spraw żydowskich. Biorąc pod uwagę, że historycy mają do dyspozycji ponad 24 tysiące samych akt prokuratorskich, podstawa badawcza przedstawia się imponująco. Patrz: A. Skibińska, *Źródła do badań nad zagładą Żydów na okupowanych ziemiach polskich*, Warszawa, 2008.

[14] Akta sądów niemieckich z Warszawy zostały wykorzystane w mojej pracy *„Ja tego Żyda znam!". Szantażowanie Żydów w Warszawie, 1939–1943*, Warszawa, 2004. Na uwagę zasługuje również artykuł D. Sierpackiej, *Mordercy Żydów przed nazistowskim Sądem Specjalnym*, „Pamięć i Sprawiedliwość" 2004, nr 2(6), oparty na aktach Sondergerichtu z Łodzi.

[15] YVA 03/3141, Dziennik Emila Urmana, s. 5.

Mieszkańcy Generalnej Guberni żyli zaplątani w gęstą sieć zarządzeń, przepisów i praw, które regulowały praktycznie wszystkie dziedziny życia. Drakońskie kary stosowane przez Niemców za łamanie tych praw spotykały się jednak z różnorakimi reakcjami ludności. Niekiedy, jak np. w wypadku obowiązku zdania radioodbiorników, większość zastosowała się do zarządzeń okupanta. Inne natomiast zarządzenia jawnie bojkotowano. Na poziomie oporu „gospodarczego" warto wspomnieć burzliwy rozwój nielegalnego obrotu towarowego: powszechność szmuglu, niekolczykownie bydła czy też masowość operacji czarnorynkowych, takich jak spekulacja walutowa, które skutecznie paraliżowały niemieckie plany wygłodzenia ludności. Natomiast całkowite odrzucenie politycznego dyktatu okupanta zaowocowało powstaniem polskiego Państwa Podziemnego, którego wpływy przenikały wszystkie warstwy społeczne. A wszystkie te działania, tak gospodarcze, jak i polityczne, niosły ze sobą – w razie wykrycia – karę śmierci. Mimo to nie brakło chętnych ani do szmuglu, ani do konspiracji. Natomiast niesienie pomocy Żydom stanowiło – co do tego źródła nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości – osobny, szczególnie niebezpieczny rozdział okupacyjnej epopei. Niosący pomoc musieli nie tylko liczyć się ze zwiększonym ryzykiem, lecz również narażali się na cenzurę społeczną. Te dwa zagadnienia były ze sobą zresztą ściśle powiązane: z im mniejszą akceptacją spotykało się niesienie pomocy Żydom, tym bardziej prawdopodobna stawała się denuncjacja i wpadka pomagających, a zatem tym wyższych cen żądano od prześladowanych Żydów. Plaga donosów była szczególnie dotkliwa, a akta sądów niemieckich są pełne dowodów sąsiedzkiej perfidii i zawiści[16]. Z jednej strony Polacy niosący pomoc Żydom liczyć się więc musieli z ogromnym prawdopodobieństwem wpadki (dużo większym niż w wypadku ukrywania ludzi z konspiracji), a z drugiej – zdawali sobie sprawę z krytycznej oceny własnego postępowania ze strony najbliższego otoczenia. Profesor Paweł Horbaczewski, szukający „meliny" dla jednej ze swoich „niearyjskich" (lecz obdarzonych pierwszorzędnym wyglądem) podopiecznych pisał: „Telefonowałem do wszystkich znajomych Polaków, żeby choć na jeden dzień przyjęli dziewczynę. Wszędzie kategorycznie odmawiano. Gdyby była Polką z AK – przyjęliby. Żydówki nie chcieli. Wziąłem dorożkę, wsiedliśmy i zacząłem jeździć po mieszkaniach tych Polaków, którzy nie posiadali telefonu. Wszędzie z tym samym rezultatem: «nie przyjmujemy Żydówki»"[17]. Koniec koń-

[16] Szczególnie żyznym polem badawczym są, z punktu widzenia obfitości donosów, akta ciechanowskiego Gestapo (AIPN, zespół Gestapo-Zichenau) czy też zespół niemieckiego Sądu Specjalnego (AMSW, Sondergericht). Z monografii poświęconych temu zagadnieniu trzeba przede wszystkim wymienić pracę B. Engelking-Boni: *Szanowny Panie Gistapo: Donosy do władz niemieckich w Warszawie i okolicach w latach 1940– 1941*, Warszawa 2003. Na donosy można się również natknąć w sierpniówkach, do których dokumenty niemieckie dołączane bywają jako dowody rzeczowe. Patrz np.: AMSW, 654 /III sygn, 230, donosy o ukrywanie Żydów z dnia 7 oraz 28 grudnia 1943 r. przeciwko Antoniemu Haleckiemu złożone na 14 komisariacie PP przez rodzinę Mogielskich. Patrz: Archiwum IPN Warszawa, SWWW, teczka 536.

[17] YVA, 03/ 2521, Relacja Pawła Horbaczewskiego, s. 39.

ców dziewczyna znalazła schronienie jako rzekoma „zdekonspirowana łączniczka AK ze Lwowa". Czysta Aryjka, oczywiście. O ile nastawienie przeciętnego człowieka „z ulicy" do sprawy żydowskiej może być – i będzie – tematem dalszych rozważań, o tyle nastawienie polskich nacjonalistów spod sztandarów NSZ-tu było jasne. Swoje stanowisko sformułowali oni w sposób kategoryczny i jednoznaczny: „Należy napiętnować tych, którzy chcą ukrywać między sobą Żydów i ogłosić ich zdrajcami sprawy polskiej. Gdyż każdy prawy Polak wie, że w odrodzonej Polsce tak dla Niemca, jak i dla Żyda miejsca nie ma"[18].

Żydzi ukrywający się po aryjskiej stronie narażali mieszkańców na dodatkowe zagrożenie, a to mogło dać asumpt do zorganizowanej akcji wszystkich aryjskich lokatorów kamienicy. Mobilizowały się więc powstające ad hoc komitety blokowe, których celem była koordynacja działań wspólnoty mieszkańców. „Weszła dozorczyni Stefańska, a za nią właściciel sklepu spożywczego z żoną i jeszcze trzech lokatorów. Na podwórzu, mimo późnej pory, stała duża gromada mieszkańców sąsiednich posesji. Zlecieli się jak na sensacyjne widowisko. Właściciel sklepu zaczął działać jak osoba urzędowa" – pisał jeden z Żydów przechwyconych przez taki samozwańczy komitet[19]. Złapanych uciekinierów lokatorzy wydali następnie w ręce policji. Trudno sobie wyobrazić, żeby podobna scena mogła mieć miejsce, gdyby w grę wchodziła konspiracyjna działalność jednego z lokatorów. Z drugiej strony, trudno wobec tego potępiać ludzi, którzy w takiej sytuacji i wobec takich nastrojów, decydowali się zamknąć drzwi przed szukającymi ratunku Żydami.

Postawy antyżydowskie nie słabły wraz z upływem czasu. Wręcz przeciwnie, pod wpływem powszechności mordów oraz codziennej propagandy niemieckiej obojętność lub niechęć wobec Żydów zdawała się wzmacniać i utrwalać. Warto też pamiętać, że niechęć do ginących Żydów nie była wyłączną domeną ludzi niewykształconych. Aurelia Wyleżyńska zapisała w swoim dzienniku pod datą 25 czerwca 1943 r.: „Słyszę z ust kulturalnej, europejskiej kobiety; «spadł kamień z serca, że ich już nie ma». Cóż się dziwić, w naszych szeregach Hitler też wiele zwycięstw odniósł!". Nawet po wybuchu powstania warszawskiego, kiedy nad ukrywającymi przestała – zdawałoby się – ciążyć groźba denuncjacji u Niemców, poprzednie nastroje nie uległy zmianie – „jak wyjdzieta, już więcej do mieszkania nie wpuszczę" – oświadczył pewien warszawiak grupie przechowywanych przez siebie Żydów – „nie chcę ludziom na śmiech się pokazać, że Żydów u siebie chowałem"[20]. Ilustracją tego typu obaw niech również będą słowa polskiego gospodarza, który w dzień wyzwolenia oświadczył przechowywanym przez siebie Żydom: „miasteczko opanowało AK i jeżeli znajdują Żyda, to go zabijają i zabiją nie tylko was, ale i mnie też, jak się dowiedzą, że was ukrywałem"[21]. Niezwykle szczerze podsumował ten prob-

[18] „Propaganda Centralna" (PC), organ NSZ, 14/27, 1942. Dwutygodnik PC wychodził w nakładzie ok. 80 tys. egzemplarzy.

[19] W. Dobrowolski, *op. cit.*, s. 133.

[20] M. Berland, *Dni długie jak wieki*, Warszawa 1992, s. 454.

[21] YVA, 03/3130, Relacja Awrahama Goldbluma, s. 24.

lem kupiec Jan Biernat z Bochni, który oświadczył (w 1949 r.!), że Żydów nienawidzi, bo był przed wojną „we froncie chrześcijańskim". Front chrześcijański – jak wyjaśnił – miał za zadanie „tępić żydów", a do szczególnej pasji Biernata doprowadziło to, że lokatorzy w jego własnej kamienicy przez wojnę przechowali dziecko żydowskie – a on nawet tego nie podejrzewał. „Jakbym wiedział, że przetrzymują dziecko żydowskie, to należałoby je zastrzelić" – oświadczył prokuratorowi[22].

Zagrożenie denuncjacją nie było spowodowane wyłącznie niechęcią do Żydów. Niezwykle ważną rolę w procesie delacji pełniła zwykła ludzka zawiść. Wedle szeroko rozpowszechnionego przekonania, osoby ukrywające Żydów zarabiały na tym krocie[23]. Tego rodzaju „niesprawiedliwe" wzbogacanie się raziło sąsiadów i znajomych, którzy uważali się za niesłusznie pominiętych przy przebiegającej na ich oczach redystrybucji własności. Majątek żydowski stawał się wobec tego „dobrem wspólnym", a indywidualne próby przechowywania Żydów – formą egoistycznej działalności skierowanej przeciw wspólnocie. Niejednokrotnie posługiwano się argumentem, że skoro represje niemieckie dotknąć mogą ogółu mieszkańców, przeto nie ma żadnego uzasadnienia, żeby korzyści przypadały tylko wybranym. Dochodziło do tego, że na wsiach zorganizowane grupy obywateli dokonywały rewizji u ludzi podejrzanych o „żydowskie sympatie", bądź też u tych, którzy swoim zachowaniem (nieoczekiwany dobrobyt, zakupy ponad stan itp.) ściągnęli na siebie uwagę sąsiadów. Dobrze ilustruje to przykład niejakiego Juliana Trebnio, gospodarza spod Sokołowa, do którego wiosną 1943 r. wtargnęła grupa zamaskowanych mężczyzn w celu znalezienia „złota, pieniędzy i Żydów". Według napastników gospodarz na pewno przechowywał Żydów gdyż „zbyt coś często kupował sobie wódkę w Sokołowie"[24]. Rewizjom towarzyszyły często bicie i szantaż[25]. Obok zagrożeń związanych z polityką antyżydowską okupanta i z wrogim nastawieniem części polskiej opinii publicznej, ukrywający Żydów musieli liczyć się z szeroką gamą represyjnych zarządzeń, które również zwiększały możliwość wpadki. W pierwszym rzędzie były to częste kontrole przeprowadzane na wsiach w celu wykrycia objętych kontyngentami zbóż bądź trzody, a w miastach – kontrole mające na celu likwidację „pustostanów", bądź walkę z wielorako zdefiniowanym nieróbstwem. Najścia na mieszkania miały na celu weryfikację liczby osób przebywających w każdej izbie, odpowiednie zarządzenia groziły odbieraniem mieszkań ludziom niepracującym,

[22] APK, SAKr 974, K209/49, Protokół przesłuchania podejrzanego z dnia 20 lX 1949 r.

[23] „Wszystkie żydy majom pełno złota" – były to słowa skierowane przez chłopa do dwóch złapanych Żydów. M. Berland, *op. cit.*, s. 205.

[24] AMSW, zespół Sondergericht, teczka 1054. Zeugen Vernehmungs-Protokoll vom 2.4. 1943. Rzecz ciekawa, dwaj z napastników, niejacy bracia Rajewicz z Sokołowa, trudnili się zawodowo tropieniem Żydów i posiadali specjalne glejty wystawione przez żandarmerię sokołowską, upoważniające ich do dokonywania rewizji po domach „w celu znalezienia Żydów, którzy się pochowali po likwidacji getta w Sokołowie".

[25] „Rewizje były przeprowadzane przez mieszczaństwo połanieckie. W grupie 5–6 nachodzili na dom wraz z sołtysem, obstawiali dom i przeprowadzali szczegółową rewizję w poszukiwaniu za Żydami. Działo się to i w innych domach". AŻIH, 310/813.

a od lata 1943 r. po Generalnej Guberni rozchodziły się pogłoski o wysiedleniach poza granice miast samotnie mieszkających emerytów[26]. Obok tego surowe przepisy o zaciemnianiu dawały asumpt do rewizji u osób rzekomo (lub też naprawdę) niedopełniających tego obowiązku. Nic więc dziwnego, że denuncjacje, rewizje, aresztowania i ciągły strach przed wpadką, jak również represyjne przepisy mieszkaniowe windowały coraz wyżej ceny, których biorcy domagali się od Żydów.

Zarabianie na Żydach

Żydówka, gdy przechodziła przez łąkę, zgubiła zegarek i zegarek ten znalazł niejaki Jurek…[27].

Chęć zarobienia na Żydach ogarnęła szerokie kręgi polskiego społeczeństwa. Wykazywano przy tym sporą dozę inwencji, korzystając przy tym z antyżydowskich przepisów wprowadzonych przez okupanta od jesieni 1939 r. Niektórzy adwokaci i sędziowie włączyli się z zapałem w tzw. „aryzację" nieruchomości (popularnie zwaną „komisarszczyzną"). W Warszawie nastąpiło to wiosną i latem 1940 r., ale w Krakowie przedstawiciele lokalnej palestry zajęli się tą działalnością już późną jesienią 1939 r. Biznesmeni, przedsiębiorcy i finansiści zaczęli zakrojony na szeroką skalę proceder kasowania wierzytelności żydowskich, a wielu mniej przedsiębiorczych lub gorzej ustosunkowanych mieszkańców z nadzieją patrzyło na możliwości mieszkaniowe w opróżnianych gettach. Ożywiona wymiana handlowa (po większej części nielegalna) z gettem przyczyniła się do powstania niejednej fortuny, a nawet po likwidacji getta interes kwitł w dalszym ciągu. Była dzielnica żydowska stała się źródłem zarobkowania dla sporej rzeszy zaangażowanych w szaber. „Getto już dawno się skończyło – pisał w swoim dzienniku Marian Berland w 1944 r. – a było ono niewyczerpaną składnicą, skąd artykuły przemysłowe strumieniem płynęły na aryjską stronę"[28].

Nic więc dziwnego, że wielu ludzi zapragnęło skorzystać z nadarzającej się okazji szybkiego wzbogacenia. Dość często pojawiał się argument, że skoro Żydzi tak czy inaczej skazani są na śmierć, to powinni przynajmniej przekazać swoje dobra w ręce Polaków, którzy do tych dóbr mają większe prawo niż obcy, bądź co bądź, Niemcy. Niezwykle trafnie określił to Emanuel Ringleblum, nazywając Żydów „umarłymi na urlopie". W odczuciu wielu Polaków Żydzi byli tak czy inaczej skazani na śmierć – nawet jeżeli udało im się przeżyć pierwsze wywózki i pierwsze miesiące Zagłady. „Pewnego razu, w styczniu 1943 r., podeszła do mojej żony Polka i widząc na jej nogach buty z wojłoku zaproponowała, żeby jej oddała, bo i tak wkrótce nie będą jej potrzebne" – pisał Eli Kusznir o swoich okupacyjnych przejściach[29]. Nieco póź-

[26] M. Szapiro, *op. cit.*, s. 226. O wysiedleniach emerytów wielokrotnie wspomina Franciszek Wyszyński. Patrz: F. Wyszyński, *Dzienniki 1941–1944,* Warszawa 2007.

[27] APK, zespół SAKr, 984, Zeznanie Jakuba B., k239/49, s. 299.

[28] M. Berland, *op. cit.*, s. 327.

[29] YVA, 03\1327, Relacja Eli Kusznira, s. 11.

niej, w przeddzień akcji likwidacyjnej, dodał: „Polacy z naszego otoczenia nie dość, że nie wyrażali współczucia, ale jawnie się radowali, że będą mogli zabrać rzeczy pozostałe po nas". Ta reakcja wzburzyła szykujących się na śmierć Żydów, którzy zaczęli palić nędzne resztki swego skromnego dobytku. „Wynikła z tego powodu głośna awantura z Polakami, którzy uważali, że spalamy rzeczy należące już do nich"[30]. Inny Żyd zapisał zasłyszane wówczas opinie: „że tylko przez Żydów Polska popadła w nieszczęście. Żydzi wszystkiemu winni, oni byli szpiegami, oni opanowali handel, oni się pchali nawet do władzy. A szczególnie ich bolało, że Żydzi idąc już na śmierć nie zostawili «braciom» Polakom swoich majątków, brylantów, futer, pieniędzy i wszystkich innych kosztowności, których posiadali tak wiele. Spotkała ich zasłużona kara"[31]. Pewien chłop spod Krakowa wyznał natomiast po wojnie, że: „spodnie zamienić chciałem z Ickiem Mendlem [Żyd ukrywający się w okolicy] dlatego, że w drodze mogła spotkać go policja i zastrzelić, a wówczas szkoda byłoby jego ubrania"[32]. Pragmatyczne podejście niektórych warszawiaków do żydowskich i pożydowskich dóbr owocowało też gospodarską troską o losy getta podczas walk w kwietniu–maju 1943 r. „Przez tych Żydów tyle domów spalą, taki kawał miasta zniszczą – zanotował cytowany wcześniej Berland – ludzie by chociaż mieli mieszkania"[33]. W podobnym duchu pisał cytowany wcześniej Franciszek Wyszyński. Już po stłumieniu powstania z przykrością skomentował fakt wyburzania całych kwartałów „dzielnicy zamkniętej": „dzielnica żydowska będzie zburzona jako siedlisko komunizmu, a więc już mamy pewność, że tam nie zostanie kamień na kamieniu. Swoją drogą jest to niesłychany wandalizm, bo ukrywanie się kilkuset Żydów w ruinach getta nie usprawiedliwia tych zniszczeń".

Cena pomocy i granice pomocy

Wiecie państwo, wprawdzie bierze się za pokój dużo pieniędzy, ale ile się bierze to za mało[34].

Rynek wynajmu mieszkań w Generalnej Guberni był ściśle ograniczony i reglamentowany. Nad lokatorami tak władze niemieckie, jak i polskie roztoczyły niezwykle czujną opiekę. Jeszcze groźniejszy był nieformalny nadzór roztaczany przez wspólnotę lokatorów (w miastach) oraz innych mieszkańców (na prowincji). Od czasu utworzenia getta, a już szczególnie po ogłoszeniu III proklamacji o prawie pobytu z dnia 15 października 1941 r., każdy nowy lokator wzbudzał z miejsca podejrzenie. Dozorców zobowiązano do starannego kontrolowania dokumentów meldunkowych, a same księgi meldunkowe kamienic policja poddawała ostrej kon-

[30] *Ibidem*.

[31] YVA, zespół 03/295, Relacja Gusty Wilner, rozdział: „W sąsiedztwie Niemców i antysemitów".

[32] APW, SAKr, 967, K156/49.

[33] M. Berland, *op. cit.*, s. 223.

[34] T. Obremski, YVA 03/0234, s. 377.

troli. Zanim dozorca zgodził się zameldować nowego lokatora, miał obowiązek zażądać świadectwa wymeldowania z poprzedniego miejsca zamieszkania, dowodu osobistego/kennkarty oraz – niejednokrotnie – świadectwa zatrudnienia. Od 1942 r. coraz częściej wymagano również świadectwa chrztu. Gwałtowne zaostrzenie represji oraz kontroli wzmagało nieufność urzędów polskich, zaczynając od dozorcy czy sołtysa, a kończąc na urzędzie meldunkowym oraz na innych władzach gminnych bądź miejskich – choćby tych, które były odpowiedzialne za wydawanie kartek żywnościowych. Dla ukrywających się Żydów sytuacja była więc niezwykle niebezpieczna, gdyż gęsta sieć przepisów oraz narastająca podejrzliwość aryjskich współobywateli narażały ich na coraz to większe ryzyko wpadki. W okupowanej Polsce istniał rynek fałszywych dokumentów. Prym na tym rynku wiodło polskie Państwo Podziemne[35], ale jedną z najliczniejszych grup „klientów" byli ukrywający swoje pochodzenie Żydzi. Tak jak w wypadku mieszkań, tak i tu za pieniądze można było zapewnić sobie pewien stopień bezpieczeństwa. Najprostszym sposobem było nabycie prawdziwych dokumentów – najwyżej ceniono papiery należące do ludzi przebywających poza krajem. Dokumenty te później „flancowano", czyli dostosowywano do nowych właścicieli. Nieco bardziej ryzykowne były podróbki, czyli „lewe" papiery. Wiele tu zależało od ceny, jaką kandydaci na ukrywających się byli w stanie zapłacić. Niejednokrotnie do świadectwa chrztu dołączano elaborowany dokument, zwany „stwierdzeniem aryjskości". Potwierdzenie aryjskości sporządzano przed notariuszem (warszawscy notariusze za sporządzenie takiego poświadczenia pobierali opłatę 50 zł), w obecności samego „potwierdzanego", oraz przynajmniej dwóch świadków[36]. Dobre dokumenty nie gwarantowały niczego poza szansą na przyjęcia „na melinę". W razie wpadki „udokumentowani" Żydzi mogli dostarczyć gospodarzom potrzebnego alibi – stało się to szczególnie istotne po stłumieniu powstania w getcie warszawskim, kiedy to żandarmeria rozpoczęła tzw. blokady domów. W czasie blokad odbywających się z reguły po godzinie policyjnej policja rewidowała dom bądź kompleks domów, wchodząc do mieszkań i aresztując wszystkich ludzi przebywających bez meldunku. Dokumenty dawały pewną szansę ocalenia, ale niekiedy wraz z żandarmerią pracowali cywilni agenci, fizjonomiści, którzy podejrzanych mieszkańców poznawali „po nosie" – jak to nazywał Emanuel Ringelblum.

---

[35] Na ten temat autorytatywnie wypowiedział się Stanisław Jankowski („Agaton"), który w latach 1942–1945 pełnił funkcję kierownika wydziału legalizacji i techniki wywiadu AK. Patrz: S. Jankowski, *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*, Warszawa 1988.

[36] Przykładem takiego dokumentu może być następująca sprawa stwierdzenia aryjskości: „Leon Jurkowski i Władysława Jurkowska oświadczyli, że Jan-Kazimierz Pyszyński i Jadwiga-Justyna Pyszyńska, rodzeństwo. (...) są pochodzenia aryjskiego i bezpośrednio po swym urodzeniu zostali przyjęci do chrześcijańskiej gminy religijnej. Tym samym świadkowie stwierdzają, że nie są im znane żadne okoliczności, które mogłyby nasuwać przypuszczenie, iż którakolwiek z wymienionych osób należała do żydowskiej gminy wyznaniowej". AMSW, repertorium notariusza A. Malinowskiego, nr 22, 30 Xll 1940 r.

Niezwykle ważnym problemem dla zamożnych Żydów pragnących skorzystać z „rynku pomocy" była sprawa zabezpieczenia posiadanych walorów. Sztuka polegała na tym, aby pieniądze i ruchomości zdeponować w pewnym miejscu, tak żeby nie trzeba ich było trzymać przy sobie. W razie rewizji urządzanej przez nieuczciwego biorcę lub w czasie najścia tzw. agentów (o czym będzie mowa nieco później) można było przynajmniej liczyć na kolejne negocjacje. Żydzi, którym odebrano już wszystko, z reguły nie mieli większych szans na przeżycie. Najrozsądniej było wobec tego zostawić rzeczy i pieniądze u kilku zaufanych znajomych, minimalizując w ten sposób rozmiar straty w razie zdrady lub wpadki. Ringelblum w gorzkich słowach opisywał ten smutny lub wręcz tragiczny aspekt okupacyjnej rzeczywistości. Według żydowskiego historyka, wojna do tego stopnia zdemoralizowała ludzi, że w znakomitej większości wypadków Polacy nie zwracali zdeponowanych u nich towarów, a dłużnicy – pieniędzy, wychodząc z założenia, że do końca wojny i tak żaden Żyd nie ocaleje, aby upomnieć się o swoje[37]. W relacjach ocalonych nierzadko wspominany jest okrzyk pełnego złości zdumienia, którym witano Żydów pukających do drzwi swoich dłużników: „A to pan (pani) jeszcze żyje?!"[38]. W swoim wstrząsającym pamiętniku Calel Perechodnik pisał: „...Mają rację Niemcy: podłość ludzka oraz czas są ich najlepszymi sprzymierzeńcami w walce z Żydami. Bez najmniejszego wysiłku z ich strony Żydzi wpadają w ich ręce. Jedni bezpośrednio na skutek donosu, inni pośrednio, gdyż zostali obrabowani czy to przez tropicieli, czy też przez ich własnych przyjaciół, którzy połakomili się na majątek żydowski, powierzony ich honorowi i uczciwości. Podłość ludzka oraz czas pracują niezmordowanie dla Niemców, dają im najlepszą gwarancję, że żaden Żyd wojny nie przeżyje na terenie całej Polski"[39] W wypadku zamożnych Żydów z Warszawy czy z Krakowa chodzić mogło o poważne kwoty, ale zdrada dotykała też nędznych ciułaczy, którzy u aryjskich znajomych zostawili zapasowe ubrania, sztućce, domowe drobiazgi czy też zwierzęta z obejścia[40]. Dramat ukrywających się pogłębiał fakt, że z reguły nie mogli liczyć na pomoc innych Żydów, z których każdy znajdował się w równie przymusowym położeniu. Natomiast pozostawienie majątku w niepewnych rękach groziło nie tylko jego utratą, lecz mogło stać się bezpośrednią przyczyną donosu i śmierci ukrywających się. Jeden z takich „depozytariuszy", mieszkaniec

[37] E. Ringelblum, *op. cit.*, s. 65.

[38] Podobną sytuację opisuje Eli Kusznir: „pewnego dnia w styczniu 1943 roku podeszła do mojej żony Polka i widząc na jej nogach buty z wojłoku zaproponowała, żeby jej oddała, bo i tak wkrótce nie będą jej potrzebne". YVA, 03/1327, s. 11.

[39] Calek Perechodnik, *Spowiedź*, Karta, Warszawa 2004, s. 272.

[40] Jedna ze skazanych na śmierć Żydówek pisała gryps do swej pozostającej na wolności córki: „Nie wiem, co u Felicjanek. Sądzę, że wszystko stracone... załączam kluczyk od szkatułki, która jest u Broni. U Zięby (Mary pomoże Ci w odebraniu) jest 6 beczek Gum.II. U Gabrychowej jest jeszcze ponad 200 sztuk pięciolitrówek, tych zardzewiałych. U Chowańców jest kaseta srebra, komplet na 12 osób... U Boczków są koszyczki i inne srebrne przedmioty, u Rzepy jest amerykańska szafka na registraturę, u dozorcy szafa mała z półkami...". Z relacji Gustawy Ehrlich, AZIH, 301/1804.

podkrakowskiej wsi, wytropił swoich żydowskich znajomych ukrytych w sąsiedniej miejscowości. Następnie złożył donos na policję i – po wywiezieniu Żydów na śmierć – oświadczył ukrywającemu ich gospodarzowi: „«Masz cholero w dupie osiem morgów» co tyczyło się do tego, że żydzi obiecali mu za przechowanie pole a zostali zabrani, i Tomasz G. nie ma nic”[41]. Podobnie tragiczny los spotkał dziesięcioosobową rodzinę Schnepsów z Dębicy, która powierzyła swoje ruchomości zaprzyjaźnionemu Tadeuszowi T. z równie zgubnym skutkiem[42].

Podstawową lokatą kapitału dla ukrywających się (bądź szukających kryjówki) Żydów były dewizy, złoto i kosztowności. O skali transakcji dewizowych związanych z działaniami Żydów poszukujących ratunku wspominał warszawski kronikarz, Franciszek Wyszyński. Latem 1942 r., podczas wielkiej wywózki z getta, kiedy tysiące skazanych na śmierć Żydów zaczęło na gwałt szukać ratunku poza murami, po aryjskiej stronie, na giełdzie warszawskiej zapanowała panika: „giełda podobno zdezorjentowana z powodu wydarzeń w getcie. Mówią, że biedotę wywożą w dalszym ciągu po kilka tysięcy dziennie, ale że bogaci żydzi zapłacili 2 mil. i teraz chcą te pieniądze odrobić na giełdzie”[43]. W parę dni później „niepokój na giełdzie” wzrósł niepomiernie i niespodziewanie załamały się kursy złota i metali szlachetnych. Rzecz w tym – odnotował Wyszyński – że pędzeni na śmierć Żydzi masowo wyprzedawali kosztowności i tym samym dokonali krótkotrwałej aprecjacji „młynarek”. Drugą – obok złota i dewiz – powszechną formą płatności były bowiem właśnie „młynarki”, ale przetrzymywanie większych kwot w walucie okupacyjnej było ryzykowne ze względu na rosnącą inflację. O ile inflacja była dość umiarkowana w latach 1941–1942, to – jak wynika z zamieszczonej poniżej tabelki – od połowy 1943 r. przybrała na sile. W miarę stabilne relacje „młynarek” do dolara ruszyły z miejsca. Sytuacja stała się szczególnie dramatyczna w miarę postępów ofensywy sowieckiej na froncie wschodnim i narastających obaw dotyczących rychłego załamania się władzy niemieckiej[44]. Dla ukrywających się Żydów lekkomyślna tezauryzacja złotówek mogła łatwo stać się przyczyną zguby, gdyż opłaty za melinę często opiewały w dewizach lub ich ekwiwalencie w złocie.

Obok gotówki i kosztowności, niezwykle popularną formą płatności była odzież. Z perspektywy lat trudno dziś pojąć głód odzieży oraz nędzę panującą w okupowanej Polsce. O ile pazerność jest zjawiskiem uniwersalnym, o tyle okupacyjna nędza wyjątkowo wyostrzała głód posiadania. W relacjach ocalonych Żydów, jak też w złożonych w sądach niemieckich zeznaniach Żydów którym przeżyć się nie

---

[41] APK, Sakr 956, IV K 58/49, akta w sprawie karnej Aleksandra K.

[42] APK, SAKr 964, K110/49.

[43] Franciszek Wyszyński, *op. cit.*, zapiski z dnia 24 i 31 lipca 1942.

[44] Należy pamiętać, że tak oczywiste dziś załamanie frontu wschodniego oraz upadek „tysiącletniej Rzeszy”, nie były niczym oczywistym dla współczesnych. W lecie 1944 roku, w podziemiu, nadal trwały gorące dyskusje nad przyszłym ustrojem „jagiellońskiej” Polski, ambitni ludzie przygotowywali się do kariery w administracji polskiej na Kresach Wschodnich, a mnóstwo ludzi wierzyło głęboko, że – podobnie jak w roku 1918 – dojdzie do zawieszenia broni i negocjowanego pokoju.

udało, rytm upływających dni, tygodni i miesięcy wyznaczały topniejące zapasy płaszczy, marynarek, koszul oraz innych części garderoby, przechowywanych u lojalnych sąsiadów. To samo zjawisko widać wyraźnie w świetle zeznań złożonych przed polskimi sądami po 1945 r. Niejednokrotnie ocaleni Żydzi wspominali tragiczne chwile, gdy zaufany „Aryjczyk", u którego przechowywano resztki majątku, odmawiał (pod takim, czy innym pretekstem) ich wydania. Tego rodzaju zdrada niejednokrotnie stała się przyczyną śmierci pozbawionych nagle oparcia Żydów. Zimą 1943 r. porządną marynarkę lub płaszcz można było spieniężyć za 2000 złotych – innymi słowy marynarka mogła przedłużyć komuś życie prawie o miesiąc. Natomiast brak marynarki łatwo mógł się stać przyczyną śmierci ukrywającego się Żyda. Cały system wzajemnych zobowiązań opierał się na zaufaniu i na wierze w ludzką uczciwość. W razie oszustwa tropieni Żydzi nie mogli jednak dochodzić swoich praw. Mogli jedynie mieć nadzieję, że ich dłużnicy zachowają się przyzwoicie. Jak świadczą o tym akta procesów sierpniowych oraz powojenne relacje, bardzo często były to nadzieje płonne. W rzadkich przypadkach Żydzi starali się oddać swą krzywdę pod arbitraż „sądu polubownego" i w ten sposób wywrzeć presję (choćby moralną) na nieuczciwych dłużników[45]. Niewiele o tej formie postępowania jednak wiadomo – na pewno nie dość, by można się ważyć na dalej idące spekulacje.

Dla Żydów wywodzących się z zamożnych rodzin, lecz pozbawionych gotówki i innego kapitału, pewną szansę ratunku stanowiły nieruchomości zajęte przez okupanta i znajdujące się pod zarządem powierniczym. Przyparci do muru Żydzi niejednokrotnie przepisywali na swoich „opiekunów" prawa do kamienic bądź też do swoich zakładów. Nie dość opisanym elementem „odpłatnego" ukrywania się jest praca na rzecz gospodarzy. Ukrywający się Żydzi, którzy nie mieli żadnych środków, lub też ci, których środki były niewystarczające, niejednokrotnie „odpracowywali" swój czynsz. Praca przybierała różne formy – od różnego rodzaju działalności chałupniczej (wspomina o tym choćby Marcel Reich-Ranicki w swoich wspomnieniach), rzemieślniczej, pracy w gospodarstwie, po udzielanie korepetycji dzieciom gospodarzy.

Cena życia

Czas zająć się zagadnieniem „ceny życia", jakiej żądali od Żydów biorcy. Jeżeli chodzi o masowość zjawiska, która jest w stanie dostarczyć nam danych zezwalających na pewne uogólnienia, to najlepszym przykładem jest oczywiście Warszawa[46].

---

[45] AP Kraków, sprawa wytoczona przez artystkę plastyka Felicję Rose małżonkom Seifert, 14 lipca 1947 r. Zespół Sądu Apelacyjnego, Kraków (SAKr) , 976/K218/49. „W lecie 1942, kiedy zaczęła się likwidacja Żydów warszawskich, za pośrednictwem M. Wyki doszło w Warszawie do zwołania sądu polubownego, na którym doniesionych zastępowali Aleksander Filasiewicz i Franciszek Seifert, zaś donoszącą adwokat dr Antoni Buksztel. Sąd ten nie doprowadził do niczego, albowiem Filasiewicz odesłał donoszącą do sądów niemieckich lub polskich, bo z „żydami na sąd polubowny nie pójdzie…".

[46] Analiza dokumentów z archiwów siedleckich, krakowskich oraz kieleckich w dużej mierze potwierdza informacje dotyczące warszawskiego „rynku pomocowego".

Tylko tu, w okupowanej stolicy, można mówić o powstaniu swoistego „rynku" ukrywania. Ukrywanie Żydów niejednokrotnie szło w parze z inną działalnością „czarnorynkową". Handlarze z Kercelaka, mówiący półgłosem *„złoto kupuję, koty przechowuję"*[47], przechowywanie Żydów traktowali jako jedno z wielu źródeł nielegalnego dochodu. Trudno określić cenę pomocy żądaną przez ludzi przechowujących Żydów dla zysku. Zasadniczo wynosiła ona tyle, ile można było od ukrywających się Żydów wymusić. W Warszawie, gdzie „rynek" na tego rodzaju usługi był największy, można jednak mówić o pewnych sumach granicznych. W drugiej połowie 1943 r. wynajęcie „Aryjczykowi" pokoju – w zależności od dzielnicy i od proponowanych warunków – kosztowało od 250 do 400 złotych. Za schronienie dla Żyda należało (w tym samym okresie) zapłacić od dwóch do czterech tysięcy złotych[48]. Zamożny warszawski przedsiębiorca, który za melinę dla siebie i dla córki płacił, w połowie 1943 r., pięćset złotych dziennie, należał do wyjątków[49]. W górnej strefie opłat mieściła się też warszawianka, pobierająca od „swoich" Żydów 5500 zł miesięcznie[50]. Według jednej z ocalonych (pochodzącej z Ostrowca) sytuacja warszawska była wyjątkowa: „ludzie mówili, że przeżyć można tylko w Warszawie, ale trzeba mieć przynajmniej 100 tys. złotych"[51]. Na pierwszy rzut oka kwota ta może wydawać się wygórowana, ale biorąc pod uwagę fakt, że biorcy obciążali Żydów nie tyle od pokoju, co od głowy – suma ta przestaje dziwić. Czteroosobowej rodzinie wyżej wspomniane sto tysięcy złotych mogło zapewnić niecały rok życia „na melinie"[52]. Lub dużo mniej, jeżeli biorcy dopuścili się szantażu.

W skutek pobierania opłat „od głowy", a nie od pokoju, dochody biorców zwiększały się kilkakrotnie. Ta komasacja zysku była szczególnie ważna, jako że ryzyko związane z ukrywaniem jednego Żyda było tylko niewiele mniejsze od ryzy-

---

[47] YVA, zespół 03/260, relacja Mordki Purmana, s. 49. „Kotami nazywali wtedy Żydów, gdyż wszyscy mówili «miał», to jest dom miał, fabrykę miał itd.".

[48] Do podobnych wniosków doszedł również cytowany wcześniej Paulsson, *op. cit.*, s. 132–134 Tytułem przykładu: styczeń–luty 1943: „Żona Nojara mieszkała w dwupokojowym lokalu pewnej kapitanowej. Za pokój bez utrzymania płacono jej 2000 zł miesięcznie. Suma ta mnie przeraziła, gdyż komorne normalne za mieszkanie dwupokojowe wynosi od 40–120 zł". Obremski, AŻIH, 302/133, s. 371; „Za mieszkanie wraz z utrzymaniem bierze kilka tysięcy złotych miesięcznie – nie jest to zbyt dużo, jak na chowanie «przeklętej rasy», tym niemniej jest to dla nas suma zawrotna. Relacja N. Wajnkranc-Szac, AŻIH, zespół 301 relacja 813, s. 112. O 2–3 tys. zł od głowy mówi też relacja P. Hoenig. Wstępna cena wynegocjowana przez M. Berlanda również wyniosła 2000 zł (lub raczej 500 zł tygodniowo). Patrz też relacja J. Brandwajn-Ziemianowej, YVA, zespół 03/2359, s. 41, cena za przechowywanie dziewczynki 3000 zł miesięcznie.

[49] YVA 03/2195, Relacja Jael Szalit-Briskier, s. 5.

[50] AMSW, zespól 654/III sygn. 230, protokół rozprawy głównej z dnia 4 czerwca 1946 roku.

[51] YVA, 03/3379, Hinda Malachi, Dziennik, s. 16.

[52] Trzeba zaznaczyć, że powyższe szacunki nie dotyczą okresu bezpośrednio poprzedzającego nadejście frontu. W Warszawie późną wiosną lub wczesnym latem 1944 r. na skutek szalejącej inflacji rodzina żydowska potrzebowała na „czynsz" nawet 3000 zł tygodniowo.

ka ukrywania kilku Żydów, a opłacalność przedsięwzięcia rosła błyskawicznie[53]. Po likwidacji getta w Otwocku po aryjskiej stronie, w specjalnie wybudowanym schowku, ukryło się ośmioro Żydów. Każdy z nich płacił polskiemu gospodarzowi 2000 zł miesięcznie[54]. Wpływy z przechowywania Żydów były na tyle pokaźne, że umożliwiły polskiemu gospodarzowi wybudowanie – już w 1943 r. – nowego domu. Jak już wspominaliśmy wyżej, zasadniczo nie wynajmowano mieszkań, lecz pokoje. Działacze Żegoty usiłowali, co prawda, kupić kilka mieszkań dla ukrywających się Żydów, ale szanse na wpadkę były zbyt wielkie, a koszta – za duże[55]. Po tym nieudanym eksperymencie stało się jasne, że jedynym rozwiązaniem jest wynajęcie pokoju u Aryjczyków. „Meliny" wynajmowano od ludzi wywodzących się ze wszystkich warstw społecznych. Często byli to przedstawiciele zubożonej inteligencji bądź pozbawione środków kobiety, których mężowie przebywali za granicą.

Trzeba tu dodać, że w niektóre „umowy" z biorcami wliczano koszt skromnego wyżywienia. W innych wypadkach za wyżywienie trzeba było płacić oddzielnie, a to otwierało przed nieuczciwymi biorcami nowe pole do nadużyć. Z jednej strony mogli oni zaniżać ceny uzyskane ze sprzedaży oddanych im w komis rzeczy, a z drugiej – mogli windować ceny płacone rzekomo za żywność. „U Błażyńskiego już się ukrywaliśmy przez pewien czas, było to po akcji styczniowej w getcie" – pisał warszawski Żyd. „Dał się nam we znaki. Każdy krok, każde tchnienie musieliśmy opłacać. Tak nam w końcu obrzydził życie, że woleliśmy wrócić z powrotem do getta"[56]. Inny ocalony opisał podobną sytuację: „Miałem kiedyś kolegę z gimnazjum – Ołdakowskiego, syna obywatela z łowickiego. Brali od nas za utrzymanie 3 razy tyle co inni, ale to by było mniejsze – jedzenie było tak marne i mało, żeśmy głodowali. Zastaliśmy tamże już troje osób, takich jak my, chowających się"[57]. Rynek pomocy rządził się swoiście pojętymi prawami popytu i podaży. Po wielkich wywózkach, gdy popyt na „pomoc" zwiększał się gwałtownie, ceny szły w górę. Niejednokrotnie dochodziło do sytuacji, w których ubożsi Żydzi – wygnani przez gospodarzy – musieli opuścić z trudem opłacone meliny, aby zwolnić miejsce dla swoich lepiej sytuowanych współbraci. Paschaje Hoenig zapisał w swojej relacji: „Tam ulokowano żonę z Risenzwegową za opłatą 2 1/2 tysiąca złotych od osoby i całkiem nieświadomie zaszkodziliśmy rodzinie żydowskiej Markusowi Spalterowi, który przebywał tam z żoną i dwojgiem dzieci i który płacił o wiele mniej. Kiedy Żak dostał od 2 osób 5 tysięcy złotych, wyrzucił tamtą rodzinę, która znalazła się pod gołym niebem"[58].

---

[53] Wedle wyliczeń Paulssona, w Warszawie, na każdy lokal, w którym ukrywali się Żydzi, przypadały cztery osoby. Paulsson, *Secret City*, s. 130.

[54] YVA, 03/3130, Relacja Awrahama Goldbluma, s. 12.

[55] T. Prekerowa, *op. cit.*, s. 164.

[56] M. Berland, *op. cit.*, s. 273.

[57] AŻIH, zespół 302 teczka 204, Relacja Anatola Wekszteina, s. 179.

[58] AŻIH, 301/813.

Formy płatności

„Płacę za pokój 10 rubli z złocie, za dwa metry kartofli oraz dwa metry węgla" – zapisał w swoim dzienniku jeden z Żydów ukrywających się w Warszawie[59]. W pierwszych latach okupacji równie chętnie przyjmowano okupacyjne złotówki („młynarki"), jak i walutę. Później, w miarę galopującej inflacji, ceny uzgadniano w oparciu o złoty „łom" sprzedawany na wagę, bądź „twarde", czyli złote monety. Największą popularnością cieszyły się „świnki", czyli niewielkie pięciorublowe monety, szczególnie przydatne w codziennych transakcjach. Obok tego w rozliczeniach stosowano złote 10- i 20-dolarówki oraz nieco rzadsze monety 10-rublowe.

Data	złoty rubel	złoty dolar („twardy")	łom złoty (gram)	dolar papierowy („miękki")
XII 1941	85	185	60	40
VI 1942	90	180	50	44
XII 1942	140	270	75	
VI 1943	200	380	110	75
XII 1943	280	500		95
II 1944	510	840		140

Uwaga: ceny w tabeli podane są w złotych (młynarkach). Źródła: Franciszek Wyszyński, *Dzienniki z lat 1941–1944*, Warszawa, 2007. L. Landau, *Kronika wojny i okupacji*, t.1–3, Warszawa 1960. H. i Ch. Malachi, Dziennik, YVA, 03/3379.

Sprawa złotych monet w rękach żydowskich wywoływała zresztą spore emocje na warszawskiej giełdzie, gdzie krążyły na ten temat różne dziwne opowieści i hipotezy. Franciszek Wyszyński, handlujący „miękkimi" i „twardymi" 12 stycznia 1942 r. zapisał w swoim dzienniku: „Mówią, że żydzi w getto biją złote dolary i złote 10-rublówki, monety jakoby mają należytą wagę i próbę i wprost nie można je odróżnić od prawdziwych. Dowcip polega na tym, że gram złota tej próby kosztuje jako łom ˜70 zł, a ten sam gram w monecie około 42 zł drożej!". Warto ten cytat przytoczyć choćby po to, żeby zrozumieć „dynamikę plotki" o żydowskim złocie.

Na wsiach o cenach „warszawskich" wiedziano niewiele, a i zagrożenia były innej natury. Anonimowość, trudna do osiągnięcia w warunkach wielkomiejskich, była prawie nieosiągalna na wsiach. W związku z rosnącym zagrożeniem, rosły też ceny kryjówek. Chłop spod Brzeska Nowego ukrywający późną jesienią 1942 r. Mordkę Borucha Elbingera wraz z rodziną, zażądał 1200 zł tygodniowo. Miesięcznie stanowiło to ekwiwalent prawie 10 metrów żyta (ówczesna cena – 500 zł za metr). Kolosalny haracz pobierany przez chłopa szedł w parze z terrorem, któremu

[59] YVA, 03/2933, Relacja Dory i Ezriela Kuczyńskich, s. 28.

poddani zostali ukrywający się Żydzi: „Krzyczał, żeby mu dać noża i nas wszystkich wyrżnie, ale dzieci jego schowali noże, więc doleciał najpierw do mnie i zaczął mnie dusić i pobił mnie bardzo, tak że odczuwałem kilka tygodni, a na żonę też napadał i maltretował, a jak się ująłem, to znowu się rzucił na mnie i pobił mnie drugi raz i wołał, żeby mu dać wszystkie pieniądze co mamy i następnie opuszczać jego dom" Niekiedy Żydzi obiecywali chłopom to, co dla chłopów było najcenniejsze – ziemię. Najczęściej jednak płacono „w towarze". Maria K. z Falkowej w powiecie tarnowskim ukrywała Żydówkę przez pięć tygodni. W grudniu 1942 r. wykryli ją jednak sąsiedzi i wydali w ręce Niemców. „Miała dużo bielizny – zeznała po wojnie gospodyni – pościeli, 5 nitek pereł, 20 dolarów w jednym banknocie. Opiekę z naszej strony miała bardzo dobrą, tym bardziej że zapewniała nas, że jak szczęśliwie przeżyje, to nas wynagrodzi"[60].

Złamanie kontraktu „na życie", czyli nieuczciwi biorcy.

Emanuel Ringelblum zapisał podczas wojny, że: „osoby, które trzymały Żydów tylko za pieniądze, a które nie miały moralnych i to bardzo mocnych pobudek, prędzej czy później pozbywały się niebezpiecznego balastu, «wygryzały» Żydów ze swych mieszkań"[61] Jest to uogólnienie krzywdzące wielu uczciwych biorców, którzy do końca wywiązywali się z raz powziętego zobowiązania. Ale jest też w tym wiele prawdy – wypadki zdrady, delacji i mordów zdarzały się często w wypadku ludzi, dla których żydowskie życie stanowiło zwykły przedmiot handlowej transakcji. Szczególnie wtedy, gdy gospodarzowi zaczęło zagrażać bezpośrednie niebezpieczeństwo lub gdy Żydom skończyły się pieniądze.

Łamanie warunków umowy między przechowującym i ukrywanym odbywało się w wieloraki sposób ale, oczywiście, chodziło zawsze o to samo – czyli o pieniądze. Biorca mógł starać się zwiększyć własne zarobki na wiele sposobów; najczęściej uciekano się do nieoczekiwanych podwyżek „komornego". Ukrywający nie byli w mocnej sytuacji przetargowej. Na dobrą sprawę jedynym argumentem skutecznym wobec nielojalnych biorców była groźba ujawnienia meliny wobec Niemców w razie wpadki i aresztowania. Jak już odnotowaliśmy wcześniej, inflacja szybko zmniejszała oszczędności ukrywających się – szczególnie jeżeli przy wyjściu z getta wymienili swoje walory na okupacyjne młynarki. Ale nawet i ci, którzy trzymali zapasy w dewizach i w złocie nie byli w stanie sprostać żądaniom swoich szczególnie bezwzględnych gospodarzy, którzy potrafili składać żądania dwu- lub trzykrotnych podwyżek komornego.

Sposobów na oszukiwanie pozbawionych ratunku i zasadniczo bezbronnych Żydów było tak wiele, że nie sposób ich tu wszystkie opisać. O inwencji oszustów niech świadczy następująca nota z dziennika warszawskiej kronikarki Aurelii Wyleżyńskiej: „Jakiś pan wynajmuje pokój, płaci z góry po 300 zł za trzy miesiące, nie

[60] APK, SAKr, 964, K114/49, Zeznanie Marii K. z dnia 29 X 1948 r.
[61] Emanuel Ringelblum, *op. cit.*, s. 175–176.

wie, kiedy zamieszka, to będzie tylko *pied terre.* Na razie sprowadził rzeczy, między innymi wielki kosz. Wyjechał. W zamkniętym pokoju ruch coraz wyraźniejszy, ktoś chodzi. Właścicielka mieszkania, która ma klucze, otwiera, w fotelu siedzi Żydówka. Co się ukazuje w tym filmie? Zwiódł obie strony, zabrawszy wszystko, nieszczęśliwa miała 200 tys., 100 tys. dla niego, drugie tyle na zapewnienie locum"[62]. Nagłe podnoszenie komornego mogło być wstępem do pozbycia się ukrywanych Żydów przez biorców. Żydzi, trwożliwie wsłuchani w każdą zmianę tonu, wpatrzeni w każdy gest lub wyraz twarzy ukrywających ich Aryjczyków, rozbierający na drobne każdą plotkę lub doniesienie o „wpadkach" na melinach, zdawali sobie sprawę z tego, że ich przetrwanie zależy tylko i wyłącznie od widzimisię ich często nieprzewidywalnych gospodarzy. „Obawiam się Polaków – zapisał jeden z ukrywających się w podwarszawskim Otwocku – którzy wyzyskawszy swych ukrywanych lokatorów pod względem finansowym, chcieliby postawić kropkę nad «i»"[63]. Drugi (lub równoległy sposób) polegał na oszczędzaniu na żywności przeznaczonej dla ukrywanych, czyli – innymi słowy – na głodzeniu ich. Przyczyną zguby mogły być plotki o nadchodzących „blokadach" domów, o podejrzeniach sąsiadów, zbyt suto zakrapiana libacja, nieoczekiwana wizyta krewnych bądź też osobiste zmartwienia biorców.

Delacja „własnego" Żyda łączyła się z pewnym ryzykiem, ale jedynie w wypadkach ludzi „nieudokumentowanych". Żyda bez dokumentów nie miał prawa nikt przyjąć pod swój dach. Natomiast jeżeli szukający pomocy mieli jakieś – choćby „lipne"– dokumenty, właściciel mieszkania mógł się tłumaczyć, że wynajął pomieszczenie w dobrej wierze, będąc przekonany o aryjskości nowych lokatorów. Dodatkową zachętą do delacji były – ogłaszane od czasu do czasu przez Niemców – amnestie dla ludzi ujawniających Żydów. Okazje takie stanowiły dogodny moment dla pozbycia się niewypłacalnych już Żydów. W samym Otwocku, o którym wyżej była mowa, 27 sierpnia 1942 r. władze niemieckie rozwiesiły plakaty, w których obiecano amnestię wszystkim Polakom „ujawniającym" przechowywanych Żydów. W niektórych wypadkach Niemcy byli skłonni przymykać oczy na występki ukrywających, o ile osoby te same doprowadziły do aresztowania przechowywanych Żydów. W innych wypadkach – szczególnie na wsiach – pozbawionych środków finansowych Żydów mordowano lub wydawano w ręce policji granatowej. Z jednej z relacji dowiedzieć się można o pewnej warszawiance, która „przechowywała Żydka, [który] zapłacił jej za to 50 tys. złotych"[64]. Nieco później kobieta ta wydała swego lokatora w ręce żandarmerii i jeszcze zainkasowała za to nagrodę.

---

[62] Aurelia Wyleżyńska, Dziennik z lat 1939–1943, oraz Dziennik z lat 1939–1944; pisane w Warszawie i we Wielgolesie (k. Mińska Mazowieckiego). Biblioteka Narodowa (Warszawa), IV 6456, III 10786; III 10787, wpis z dnia 4 VI 1943.

[63] M. Szapiro, *op. cit*., s. 247.

[64] YVA, zespół E/438, Relacja Poli Rotszyld, s. 70.

Wydawanie w ręce Niemców

Poszedł do swego stryja, aby spytać się o radę co z żydem uczynić. Po powrocie oświadczył, iż stryj mu radził, aby żyda zmarnić[65].

Jak już wcześniej wspomnieliśmy, od czasu do czasu zdarzały się przypadki biorców, którzy decydowali się trzymać swoich żydowskich podopiecznych nawet wtedy, gdy uległy wyczerpaniu ich zasoby finansowe. W miejsce płatnej pomocy widzimy wówczas pomoc bezinteresowną, a ofiarowujący ją z biorców przekształcają się w Sprawiedliwych. Niestety, liczniejsze bywały sytuacje odwrotne, kiedy biorcy, w obliczu nędzy swoich Żydów bądź też w obliczu narastającego zagrożenia, decydowali się pozbyć niewygodnych lokatorów. Ilustracją takiego postępowania może być sprawa małżonków Grajewskich[66]. W końcu sierpnia 1942 r., wkrótce po likwidacji getta w Otwocku[67], do mieszkających w pobliskiej Rudce Grajewskich zapukał szukający ratunku Żyd Solnicki wraz z córką. Z początku mieli zatrzymać się na jedną noc, lecz zostali pod dachem Grajewskich przez tydzień, aż do 2 września. Solnicki nie miał przy sobie wiele gotówki, ale jego syn – policjant w nadal istniejącym (choć likwidowanym) otwockim getcie – już następnego dnia przekazał Grajewskim pewną kwotę. Pod wpływem kolejnych żądań Polaków przekazana kwota urosła do 1600 zł. Pieniądze te miały wynagrodzić Grajewskim ich wysiłki oraz zapewnić dwojgu zbiegom z getta dach nad głową. 2 września Grajewscy doszli jednak do wniosku, że ewentualne korzyści z dalszego ukrywania Żydów były niewspółmiernie małe w stosunku do grożących im konsekwencji i wydali Solnickiego wraz z córką w ręce żołnierzy Wehrmachtu. Żołnierze, na prośbę Grajewskiego, zastrzelili Solnickiego wraz z córką i polecili gospodarzowi zakopać zwłoki na terenie posesji. Następnie podzielili się skromnym łupem, na który złożyło się parę pierścionków zaszytych w bieliźnie ofiar. Morderstwo doszło jednak do uszu władz niemieckich, które późną jesienią wytoczyły proces małżonkom Grajewskim. Oskarżono ich nie tyle o zabójstwo, ile o wcześniejsze ukrywanie Żydów i z tego też paragrafu (*Judenbegunstigung*) małżonkowie zasiedli na dłuższy czas w więzieniu śledczym[67]. Po rocznym śledztwie, na posiedzeniu w dniu 4 października 1943 r., niemiecki Sąd Specjalny w Warszawie rozpatrzył sprawę małżonków Grajewskich i uniewinnił oboje ze względu na niewielką szkodliwość społeczną czynu. Na tym przykładzie widać płynność stosowanych pojęć i trudności w mechanicznym zaszeregowywaniu postaw pomocowych. Na przełomie sierpnia i września 1942 r., w szczególnie dramatycznych chwilach dla mieszkańców otwockiego getta, małżonkowie Grajewscy – z narażeniem własnego życia – przyjęli pod swój dach ofiary niemieckich prześladowań. Po pewnym czasie, pod wpływem strachu i (lub) chciwości, zdecydowali się wydać przechowywanych Żydów na śmierć. Za swoją decy-

[65] APK, SAKr 994 K5/50.

[66] Archiwum Miasta Stołecznego Warszawy (dalej – AMSW), Sondergericht Warschau, teczka 1134, sprawa przeciwko małżonkom Grajewskim.

[67] AMSW, Sondergericht Warschau, teczka 1134, s. 56–63, streszczenie postępowania.

zję zapłacili całorocznym ciężkim śledztwem na Pawiaku i na Rakowieckiej – i tym samym trafili do grona ludzi represjonowanych za niesienie pomocy Żydom.

Surowe kary za przechowywanie Żydów groziły ludziom złapanym na gorącym uczynku. Grajewskim, których przypadek opisaliśmy powyżej, z całą pewnością zaszkodziła próba samodzielnego rozwiązania „problemu żydowskiego". Zamiast wydać Żydów w ręce policji, gospodarze usiłowali dogadać się bowiem bezpośrednio z żołnierzami Wehrmachtu – a na to władze niemieckie, obawiające się demoralizującego wpływu miejscowych na wojsko, patrzyły z największą niechęcią. W wypadku wydania „własnych" Żydów, przechowujący mogli zazwyczaj jednak liczyć na wyrozumiałość władz. Niekiedy wypłacano im nawet z tego tytuły skromne nagrody. Na wsiach na przykład za wydanych Żydów płacono niewielkie „premie". Z reguły chłopom Żydów odstawiającym na policję pozwalano zabrać ubrania ofiar, a niekiedy dodawano nowe buty lub parę kilogramów cukru[68]. Odnotować można też wypadki nagród rzędu 10 metrów kartofli od każdej żydowskiej rodziny dostarczonej na żandarmerię[69]. W Węgrowie, w dystrykcie warszawskim, życie pewnej Żydówki wyceniono na 15 zł – tyle uzyskał morderca ze sprzedaży rękawiczek należących do ofiary[70]. Gospodarzy z Lipnicy, szczególnie zasłużonych w wyłapywaniu ukrywających się w okolicy Żydów, wezwano do Nowego Sącza na gestapo, gdzie wynagrodzono ich pożydowską odzieżą pobraną ze specjalnego magazynu[71]. „Przyznałam się wobec leutnanta, że rzeczywiście w moim domu znajdują się 3 żydówki – zeznała w 1946 r. jedna z ukrywających Żydów biorczyń – żandarmi zabrali żydówki ze sobą, zabrali również ze strychu bardziej wartościowe rzeczy, a mniej wartościowe pozostawili"[72]. W Kopalinach pod Bochnią gospodarz wydał w ręce Niemców przechowywanego przez siebie dotąd Żyda. Po egzekucji złapanego Niemcy wynagrodzili delatora 1 litrem wódki oraz paczką papierosów[73]. Niemcy dokonywali zazwyczaj wstępnego rabunku złapanych, a resztki dobytku oddawano Polakom. Latem 1943 r., po egzekucji dwóch krakowskich Żydówek złapanych we wsi Brnik „zebrało się bardzo dużo ludzi, oraz wszyscy dobijali się do brania ubrań po tych Żydach"[74]. W tym wypadku Niemcy zarządzili, żeby poży-

---

[68] APK, zespół SAKr, 991, k1/50, Zeznanie Randa Altera w sprawie Michaliny S. z 5 VII 1946 r. Archiwum IPN, SWWW, teczka 105, Julian Gluchowski, gospodarz ze Skarzyna pod Węgrowem, za każdego odstawionego Żyda dostawał od żandarmów po 1 kg cukru.

[69] APK, zespół SAKr 988, sprawa IVK 256/49, Zeznanie Michała H. z Trzebuni, s. 2. Warto nadmienić, że od jesieni 1942 roku żandarmeria niemiecka na terenie Generalnej Guberni z miejsca rozstrzeliwała doprowadzonych Żydów. W dziennych raportach było to kwitowane formułą: „*Nach dem gegebenem Richtlinien verfahren*" – postąpiono zgodnie z wydanymi wytycznymi.

[70] Archiwum IPN, Specjalny Sąd Wojskowy (SSWW), teczka 362.

[71] APW, SAKr, 964, K114/49.

[72] APK, zespół SAKr, 991, k1/50, Przesłuchanie Michaliny S.

[73] APK, SAKr 970\ K178\49. YVA, zespół E/438, Wspomnienia Poli Rotszyld, s. 67.

[74] APK, SAKr, 967, K153/49, Protokół przesłuchania świadka Weroniki N., 15 X 1948, s.47. Wg innego świadka chodziło o Esterę Metzger wraz z córką Tolką – obie dobrze znane przynajmniej dwóm mieszkańcom wioski.

dowskie rzeczy przypadły w udziale jedynie tym, którzy się w tej sprawie „zasłużyli”[75]. Rzecz znamienna, na którą już zwrócono poprzednio uwagę, że podział dóbr żydowskich odbywał się jawnie, w obliczu całej wioskowej wspólnoty[76]. Podobnie stało się w wypadku Żydówek przechowywanych w wioskach Wieniec, Niegowicie i wielu innych, wspomnianych w aktach „sierpniowych” Sądu Apelacyjnego w Krakowie[77]. Schemat zachowań jest przygnębiająco jednolity: Żydzi szukający ratunku po wioskach zazwyczaj starali się korzystać z gościny ludzi, których znali sprzed wojny lub przynajmniej w okolicy znanej im z lepszych czasów[78]. Z akt śledztw wynika, że pobyt u chłopów był krótki (długie pobyty są historykom znane z akt Sprawiedliwych) – zazwyczaj po paru dniach Żydów obrabowywano, a następnie wydawano w ręce żandarmerii. W rzadszych wypadkach rolę katów brali na siebie sami chłopi, bojąc się represji niemieckich bądź też pytań o majątek pozostały po ofiarach. W Ratułowie, pod Nowym Targiem, Józef S. przez dwa tygodnie świadczył gościnę żydowskiej rodzinie Wiktora Relki z gminy Dzianisz. Przez ten czas – jak twierdzili sąsiedzi – „wykorzystywał ich do ostatniego, poczem wygnał ich od siebie”[79] Po dwóch tygodniach, po doszczętnym obrabowaniu swoich „lokatorów”, Józef S. wezwał policję z Cichego i z Czarnego Dunajca. Świadek Jan S. zeznał: „widziałem policję granatową przed domem S., a z policjantami także kilkunastu chłopów, którzy uchwycili owych Żydów. Jak owych Żydów zabierano, nie widziałem, gdyż był to wieczór, tylko słyszałem, że ten Wiktor wraz z żoną i dziećmi krzyczeli załamując ręce «kiedy nadejdzie kres tych morderstw!»”. Policjanci przekazali Żydów na gestapo do Zakopanego, a Józefowi S. nakładli po twarzy i oświadczyli, że na posterunek przyszły już trzy donosy o jego „pomocowej” działalności. W miejscowości Cholerzyn (niedaleko dzisiejszego lotniska Balice pod Krakowem) ukry-

[75] Inną „akcję”, która miała miejsce w tej samej wiosce, następująco opisał świadek Piotr S.: „Na wozie razem z nami jechał jeden policjant, który pilnował, żebyśmy nic z tych rzeczy nie zabrali. Gdyśmy zajechali do sołtysa Niemcy kazali nam to złożyć na jedną styrtę, lecz gdyśmy to już złożyli, tak jeden polski policjant kazał to ludziom zabierać. Ludność się na to rzuciła, lecz jeden Niemiec doszedł i odpędził tych ludzi i powiedział, że te rzeczy są tylko dla zasłużonych, że tylko zasłużeni mają prawo zabierać. Sołtys rozkazał nam, żebyśmy zastrzelonych tych Żydów pochowali i gdyśmy zajechali na miejsce, zauważyliśmy dużo ludzi i jednego Żyda, który patrzył się na zastrzeloną jego siostrę, to on nie dał, tylko kazał, żeby go zastrzelić i razem oboje ich pochować. Tak ktoś z tych ludzi zameldował na żandarmerię, jeden Niemiec przyjechał na koniu, zastrzelił tego Żyda i w jednym dołku razem z tą siostrą został pochowany”. APK, SAKr, 967, K153/49, s. 50, Przesłuchanie świadka z dnia 16 października 1948 roku.

[76] A. Skibińska i J. Petelewicz, *Udział Polaków w zbrodniach na Żydach na prowincji regionu świętokrzyskiego*, „Zagłada Żydów” 2005, tom 1, s. 114–148.

[77] APK, zespół SAKr, 984, K39/49, Przesłuchanie Piotra T.

[78] Tytułem przykładu: sprawa rodziny Mławskich ukrywających się pod Pułtuskiem, Archiwum IPN Warszawa, zespół Gestapo Zichenau, teczki 3740 oraz 9807. W sprawie trzech niezidentyfikowanych Żydówek zamordowanych przez ukrywającego ich gospodarza spod Siedlec, AMSW, zespół Staatsanwaltschaft bei dem Sondergericht Warschau, 4869 (4579).

[79] APK, SAKr 985, K 244/49.

wał się niejaki Marian Haba. Ukrywał się tak długo, dopóki do uszu miejscowych nie doszły pogłoski, że schował gdzieś złoto. Wezwany przez chłopów granatowy policjant zeznał po wojnie: „Gdy zaszedłem na miejsce zobaczyłem nie człowieka, lecz bezkształtną masę. Twarzy zupełnie nie można było rozpoznać. Ludzie mówili, że Żyda tego zabili, gdyż miał ukryć 5 kg złota”[80]. Inny wiejski biorca przechowywał czwórkę Żydów, a wiosną 1944 r. wydał ich w ręce Niemców. Według jednego z sąsiadów „Gdy Niemcy ich [Żydów] strzelali, był przy tym, po egzekucji poszli do niego do domu. Jasnym jest, że jeśli mu nic za to nie zrobili, to on ich musiał sam zdradzić. Podobno żydzi ci mieli dużo złota i pieniędzy. Również wymieniony po tych żydach ma 12 morgów gruntu, które jak twierdzi miał od nich kupić, jak również dom i inne maszyny rolnicze”[81]. W omawianych wyżej sprawach widać zasadniczą różnicę między specyfiką wiejską a miejską. Oddalenie od niemieckich oczu, brak nadzoru ze strony sąsiadów, wszystko to ułatwiało przygotowanie i realizację morderczych planów. W miastach nieuczciwi biorcy chcąc osiągnąć ten sam skutek, wyręczali się zazwyczaj „agentami” bądź też Niemcami. Na wsiach – biorcy częściej uciekali się do mordów.

„Szmalcowanie” własnych Żydów

Dobiegały mnie urywane zdania: «to tłusta kocica – można wziąć od niej więcej», «Ten kot ma jeszcze dość, niech nie kłamie, że to już wszystko», «A za tę kotkę dużo dostaliście?»[82].

Mordy na Żydach bądź ich wydawanie w ręce policji stanowiły końcowy akt zdrady ze strony biorcy, i dla ukrywających się – w znakomitej większości przypadków – oznaczały śmierć. Nie był to jednak jedyny możliwy sposób działania. W wielu wypadkach (raz jeszcze należy podkreślić niemożność kwantyfikacji danych dotyczących rozmiarów zjawiska) biorcy wydawali swych żydowskich lokatorów w ręce współpracujących z nimi „agentów”. Agenci rekrutowali się niekiedy spośród znajomych, polskich policjantów, konfidentów gestapo lub nawet spośród Niemców – ale istotne było to, że pracowali na własny rachunek. Ich celem było jak najszybsze wymuszenie od Żydów – pod groźbą wydania w ręce mniej litościwych funkcjonariuszy – całego posiadanego kapitału. Agenci dzielili się później z biorcą w ten sposób uzyskanymi pieniędzmi. Najścia agentów trwały tak długo, jak długo Żydom starczało pieniędzy na okup bądź też do czasu, gdy udało im się uciec spod wyniszczającej opieki. Zasadnicza różnica między biorcami postępującymi w ten sposób a tymi wydającymi Żydów bezpośrednio w ręce Niemców, polegała na tym, że niektórzy z szantażowanych Żydów mimo wszystko przeżyli okupację. Trzeba nawet przyznać, że – w pewnym stopniu – przeżyli ją dzięki opiece szantażują-

[80] APK, zespół SAKr, 994, K5/50, Przesłuchanie Stanisława H., s. 56–56v.
[81] SAKr 954 IV K. 53/49, Sprawa karna Piotra J. i innych.
[82] Archiwum Yad Vashem, 03/2716, Relacja Miriam Wecer Thau, s. 11.

cych ich gospodarzy. Jeden z takich agentów, odbierając kolejne dziesiątki tysięcy złotych od swych ofiar „zapisał sobie właściwy adres Heńka, żebyśmy mu się po wojnie zrewanżowali, że nas zostawił przy życiu”[83]. Proceder ciągłego szantażu możemy prześledzić na przykładzie rodziny Malachich, która wpadła w sidła działającej w ten sposób szajki[84]. Do pierwszego najścia „agentów” doszło wkrótce po zamieszkaniu na melinie. Skończyło się wtedy na opłaceniu szantażystów kwotą 20 tys. zł. Żydzi, przeniesieni przez gospodarza do innego lokalu, zapłacili kolejne 2.500 od osoby i jeszcze dodali 3 tys. zł pośrednikowi za pomoc. Pośrednikiem był zresztą ich dotychczasowy biorca – jak się miało niebawem okazać – wspólnik agentów dokonujących najścia. Co pewien czas Malachi przesyłali spore kwoty (mowa o 4 tys. zł) innym żydowskim rozbitkom szmalcowanym w Warszawie przez sprawnie działający gang „opiekunów”. Nowa melina nie zapewniła ukrywającym się bezpieczeństwa. Łupem kolejnych agentów padło 15 tys. zł oraz złoty zegarek naręczny. Niezadowoleni z wysokości okupu, agenci po pewnym czasie wrócili, domagając się większych pieniędzy. Po tym epizodzie wydało się, że Żydzi padli ofiarą konkurencyjnej grupy, znanej zresztą gospodarzowi. „Są to ludzie Heńka – taki skurwysyn będzie psuł moje mety?” – oświadczył wyszmalcowanym Żydom nowy biorca. Warto nadmienić, że tak zdradliwi gospodarze, jak i agenci traktowali wymuszenia jako swego rodzaju akt sprawiedliwości dziejowej: „Myśmy [Żydzi] zrobili majątek na nich, teraz jest ich czas i muszą nam wszystko z powrotem odebrać” – cytował jednego z agentów ukrywający się Żyd[85]. Nie ulega wątpliwości, że niejeden przedwojenny endecki publicysta podpisałby się obiema rękami pod taką oceną sytuacji. Kolejny lokal, tym razem na warszawskim Grochowie, został również załatwiony za pośrednictwem gospodarzy, za 10 tys. zł. W odróżnieniu od poprzedniej meliny żywność była tańsza, „gdyż gospodyni przy zakupach nie zarabiała”– lecz i tu niebawem zjawili się agenci. W najściu wzięli udział żandarm i policjant z rewolwerami: „Tym razem dosłownie nas ogołocili, zostaliśmy w jednych koszulach, zabrali nam wszystkie pierścionki, papierośnicę, 30 dol., 300 zł i 1 twardy”. Można by kontynuować tę wyliczankę nieszczęść, ale faktem jest, że małżonkowie Malachi ukrywali się nadal i że wojnę przeżyli. Czy przeżyli ją dzięki, czy też pomimo takiej formy „opieki” jest pytaniem, na które historyk nie jest w stanie znaleźć przekonującej odpowiedzi. Nie należy traktować przypadku rodziny Malachi jako czegoś odosobnionego. Grasujące w miastach szajki szantażystów pojawiają się często w dokumentach z epoki. „Po dwóch tygodniach ta łajdaczka Lewestamowa nas wydała. Sprowadziła dwóch agentów niemieckich – Ukraińców, którym musiałem się opłacić i uciekać stamtąd. Okazało się potem, że to był jej zwyczajny proceder”[86] – zapisał ukrywający się w Warszawie Anatol Wekształtejn. Dla pozbawionych skrupułów biorców Żydzi byli takim samym towarem, jak każdy

[83] YVA, 03/3379, s. 18.
[84] Historię tę odtworzono na podstawie relacji małżonków Malachi. YVA, 03/3379.
[85] *Ibidem*, s. 22
[86] Relacja Anatola Wekształtejna, *loc. cit.*, s. 178–179.

inny. Cytowany wcześniej Obremski pisał: „Niestety, bardzo często taki gospodarz sam posyłał do siebie szantażystów, zyskując na tym to, że lokator uciekał, pozostawiając wszystkie swoje rzeczy”[87]. Do jednego najbardziej ponurych epizodów okupacyjnej gehenny należy działalność warszawskiej biorczyni, Kazimiery Swierdzewskiej, która korzystając ze swoich przedwojennych kontaktów, opiekowała się co zamożniejszymi Żydami[88]. Co pewien czas, ogołociwszy ich do cna, wydawała ich w ręce Gestapo. W ten sposób zginęli między innymi członkowie rodziny Lichtenbaumów[89] oraz Weinsteinów. Raz jeszcze trzeba uściślić, że nie sposób określić powszechność tego rodzaju zachowań, ale sam mechanizm jest dobrze znany tak z literatury pamiętnikarskiej, jak i ze źródeł archiwalnych[90].

Uważna lektura relacji i procesów wskazuje na to, że wydawanie „własnych” Żydów w ręce władz zdarzało się zazwyczaj w pierwszych dniach lub tygodniach po ich „zamelinowaniu”. Po dłuższym pobycie pod jednym dachem między ukrywanymi i ich gospodarzami zadzierzgnąć się mogły więzy współzależności (nie tylko finansowej), które skuteczniej chroniły przed zdradą. Nie było to jednak regułą. Przekonała się o tym Estera Polanicer przechowywana przez sześć miesięcy w gospodarstwie Stanisława Wolińskiego. Woliński „korzystał z niej dużo” – jak to określił jeden ze świadków – „miał u siebie dużo rzeczy pożydowskich i futro, w którym chodził ubrany”[91]. Nie przeszkodziło mu to jednak wydać przechowywanej przez siebie kobiety w ręce policji granatowej, która przekazała ją następnie żandarmerii niemieckiej.

Podsumowanie

Na tle indyferencji lub wrogości znacznej części polskiego społeczeństwa, wśród zaszczutych przez okupanta żydowskich rozbitków narastały zawód i rozczarowanie do Polaków. Niebawem w wyniku złych doświadczeń – pojawił się strach, a w ślad za nim – rosnąca niechęć. W miejsce oczekiwanej empatii i bezinteresownej pomocy, większość Żydów zetknęła się z wyrachowaniem. W wielu innych wypadkach – o których była poprzednio mowa – jakość świadczonej pomocy była tak niska, że percepcja biorców w świadomości ukrywających się niewiele tylko odbiegała od tego, jak postrzegali oni samych Niemców. Wielu Żydów (jak choćby

[87] Obremski, *op. cit*, s. 212.

[88] Sprawę można w części odtworzyć na podstawie akt warszawskiego Sądu Specjalnego, a w części – na podstawie relacji Romy Elster. Patrz: AMSW, Sondergericht Warschau (SGW), teczka 735 oraz wspomnienia Romy Elster, AŻIH, zespół 302/200.

[89] Dr Lichtenbaum był przedwojennym dyrektorem warszawskiej firmy ekspedycyjnej „Juliusz Herman”.

[90] Wracając raz jeszcze do relacji Malachi: „Żydzi wyprowadzili się, bo szmalcownicy do nich przyszli. Podobno pani Billikowa sama ich kazała wypłoszyć, dowodem tego jest to, że ją w rękę pocałowali, wzięli tylko 3 tys. zł; a najważniejsze kazali się wyprowadzić”. Malachi, *op. cit.*, s. 82.

[91] APK, SAKr, 965, K122/49.

Emanuel Ringelblum) nie bardzo było w stanie pojąć dlaczego – na tle bądź co bądź strasznych represji niemieckich – w Polakach nie narodziło się poczucie wspólnoty losu z ginącymi Żydami. „Dziś jeszcze Polacy myślą kategoriami przedwojennymi – zapisał ukrywający się warszawski Żyd w 1943 r. – niewątpliwie wielu z nich cieszy się z powodu likwidacji ludności żydowskiej przez Niemców. Zapominają, że kij ma dwa końce. Że jeżeli tę metodę aprobują, winni sobie uprzytomnić, że może ona kiedyś zostać zastosowana wobec nich”[92]. Szczególnie deprymujące były opinie antyżydowskie zamieszczane w rozmaitych pismach podziemnych – zamiast nadziei, Żydzi znajdowali w bibule dalsze oskarżenia rzucane pod adresem ginącego narodu[93]. Na rosnącą wrogość do Żydów zwrócił uwagę emisariusz Jan Karski. W swoim raporcie sporządzonym wiosną 1940 r. pisał: „Stosunek do Żydów jest przeważnie bezwzględny, często bezlitosny. Korzystają [szerokie masy – JG] w dużej części z uprawnień jakie nowa sytuacja im daje. Rozwiązanie kwestii żydowskiej przez Niemców – muszę to stwierdzić z całym poczuciem odpowiedzialności za to co mówię – jest poważnym i dosyć niebezpiecznym narzędziem do moralnego pacyfikowania szerokich warstw społeczeństwa polskiego”[94]. Rozwijając dalej ten temat, Karski pisał: „Naród nienawidzi swego śmiertelnego wroga – ale ta kwestia stwarza jednak coś w rodzaju wąskiej kładki, na której przecież spotykają się zgodnie Niemcy i duża część polskiego społeczeństwa”. Uczucie odtrącenia wpływało na pogłębienie przepaści dzielącej obie społeczności. Ciągłe szantaże, nieustanne poczucie zagrożenia ze strony polskich współobywateli oraz widoczne na każdym kroku postawy antysemickie wielu Żydów wprawiały w stan szoku. Dobitnie wyraziła to Hinda Malachi: „Wiedziałam jedno, że ja za bardzo nienawidzę Polaków, bym mogła wśród nich przebywać”.

Wobec takiego rozwoju sytuacji, ratowanie Żydów było jednym z najniebezpieczniejszych zajęć w okupowanej Polsce. Brak społecznego przyzwolenia na tego rodzaju działanie oznaczał ogromne zagrożenie donosami, a w konsekwencji – śmiercią. Wiadomo o tym sporo na podstawie istniejących relacji Sprawiedliwych i uratowanych przez nich Żydów. Dużo więcej na ten temat mogą nam jednak powiedzieć źródła dotyczące ludzi korzystających z pomocy płatnej. Zagadnienie to jednak nie doczekało się jak dotąd żadnego opracowania. A szkoda, bo temat to rozległy. Jak wynika z analizy dostępnych materiałów archiwalnych, w okupowanej Polsce powstał nowy, niezwykle popłatny zawód polegający na pomaganiu Żydom.

---

[92] Marek Szapiro, *op. cit.*, s. 254–255.

[93] „W gazetce przeznaczonej 11 listopadowi [1943] czytaliśmy między innymi, «że żydostwo zaśmieciło naszą kulturę». Jest tu mowa o Polsce z przed 1939 roku. Naród, który teraz tak cierpi w niewoli, widząc że Żydzi tak tragicznie zostali wykończeni, w ten sposób się wyraża”, Malachi *op. cit*., s. 67.

[94] Pełen tekst raportu Karskiego można znaleźć w „Mówią Wieki” 1992, nr 11. Cytuję za: Jan Tomasz Gross, *Upiorna Dekada, Eseje o stereotypach na temat Żydów, Polaków , Niemców, komunistów i kolaboracji*. Kraków, 2007, s. 16–17. Rzecz charakterystyczna, oficjalna wersja raportu Karskiego została udostępniona zachodnim aliantom w wersji ocenzurowanej, a cytowany fragment został z niej usunięty.

Pomoc ta była zazwyczaj krótkotrwała i bardzo złej próby. Wedle poprzednich szacunków samo zjawisko oceniano na zaledwie kilkanaście procent ogółu wypadków niesienia pomocy. Prace te jednak opierały się głównie na relacjach ocalonych, a te tylko w niewielkim stopniu były w stanie rzucić światło na doświadczenia ludzi korzystających z pomocy biorców. Zespoły archiwalne zawierające materiały sądów niemieckich i polskich z lat wojny, powojenne rozprawy toczone z dekretu sierpniowego, jak i tysiące relacji przechowanych w zbiorach ŻIH oraz Yad Vashem pozwalają dziś na wyciągnięcie dalej idących wniosków dotyczących tego nadzwyczaj bolesnego tematu. Analiza zachowanych źródeł zezwala na pewne uogólnienia, które wskazują na znacznie szerszy niż dotąd zakładano zakres płatnej pomocy. Nie ulega też wątpliwości, że nie tylko biorcy, ale i sami Żydzi traktowali opłaty za pomoc jako rzecz naturalną i pozbawioną swoistego piętna zdrady bądź skrajnego wyzysku. Dopóki biorca respektował zasady nieformalnego kontraktu, tj. nie zmieniał jednostronnie warunków umowy, nie ciemiężył i nie głodził swoich podopiecznych i – rzecz najważniejsza – nie przyczyniał się do ich zguby, dopóty postawę taką oceniano pozytywnie. Nierzadko stosunek między biorcą a ukrywanymi Żydami przeradzał się w przyjaźń i układ oparty o pieniądze przeradzał się w pomoc bezinteresowną, nieraz trwającą do końca okupacji. W innych jednak wypadkach wyrachowanie brało górę i pozbawionych dalszych środków Żydów wyganiano na ulicę, co z reguły kończyło się tragicznie. W innych wypadkach biorcy, chcąc się jak najszybciej pozbyć uciążliwych lokatorów i przejąć ich pieniądze, wchodzili w porozumienie ze szmalcownikami (tzw. agentami), którzy doszczętnie obrabowywali swe ofiary, a następnie zmuszali je do opuszczenia meliny. W najbardziej tragicznych przypadkach po ograbieniu „swoich Żydów" biorcy wzywali policję, niemiecką żandarmerię lub też mordowali ich sami. Niełatwo jest oszacować „cenę życia" w okupowanej Polsce, ale dane dotyczące Warszawy pozwalają na stwierdzenie, że w latach 1942–1944 trzeba było mieć ok. dwóch-czterech tysięcy złotych miesięcznie „od głowy" na opłacenie meliny. Nie znaczy to oczywiście, że każdy Żyd dysponujący tego rodzaju gotówką mógł znaleźć lokal, lecz wiadomo, że bez tej kwoty jego możliwości ograniczały się wyłącznie do ludzi ratujących Żydów z dobroci serca. A tych nie było tak wielu. Rzecz charakterystyczna, w wielu wypadkach z biegiem lat w pamięci ocalałych Żydów wspomnienia wyzysku, upokorzeń i złego traktowania doznanych w ukryciu ulegało zatarciu, a na ich miejscu pojawiła się świadomość ocalenia. „Fakt, że zostaliśmy przy życiu, wymazał wszystkie ujemne historie, które miały miejsce podczas okupacji, bo jednak, jakby nie było, też [gospodarze] mają swój wkład w to, że zostaliśmy przy życiu"[95] – pisał jeden z ocalonych.

Słowa kluczowe
pomoc Żydom, płatna pomoc, stosunki polsko-żydowskie, kolaboracja

[95] YVA, 03/3130, Relacja Awrahama Goldbluma, s. 28.

Abstract
There is a consensus among Polish historians that helping the Jews under the occupation was a widespread phenomenon. Indeed, while some Poles helped the Jews on humanitarian grounds, many others considered it a very risky, but also a very profitable enterprise. In historical literature these people are referred to as "paid helpers". This text, based upon primary sources such as war-time court records, war-time diaries, early post-war Jewish narratives and the post-1945 "August" trials, seeks to shed light on the scale of the phenomenon of paid help, as well as on the quality of help offered under these circumstances. It also offers an analysis of the relationships between the Jews and their paid helpers.

Key words
rescue, paid helpers, Polish-Jewish relations, Holocaust, collaboration